



Henryk Samsonowicz

**DZIEŃ CHRZTU
I CO DALEJ...**



I. DZIEŃ CHRZTU

Nie wiemy, czy wiosenny dzień 966 roku, w którym książę Mieszko, władca kraju nad Wartą, przyjął chrzest, był pogodny czy słotny, chłodny czy ciepły. Niewiele też możemy powiedzieć o przebiegu wydarzenia. Zapewne odbyło się ono 14 kwietnia w Wielką Sobotę, być może chrztu udzielił księciu polańskiemu Jordan – jak sądzą historycy – biskup misyjny wysłany przez papieża. Miejsce chrztu także nie jest znane. Jeśli – jak się wydaje – odbył się w ziemi Polan (aczkolwiek są też przypuszczenia, że wydarzenie to miało miejsce w Ratyzbonie), to zapewne ceremonia wprowadzenia Mieszka do baptysterium odbyła się w Poznaniu (o czym świadczą niedawno odkryte fragmenty świątyni), w Gieczu, a może na Ostrowie Lednickim, także pretendującym do miana pierwszej stolicy polskiego chrześcijaństwa. Nie wiemy, ilu ludzi towarzyszyło księciu w przyjęciu nowej wiary. Zapewne była to niewielka, kilkunastoosobowa garstka otaczająca monarchę. Także zresztą nie w pełnym składzie, jako że małżonka Mieszka Dubrawka była już od dawna chrześcijanką i, zapewne, do tej religii przyznawała się część osób z jej otoczenia.

Mniej prawdopodobne wydają się wizje malarskie powstałe w XIX stuleciu ukazujące liczne rzesze ludzi przyjmujących chrzest u boku swego władcy. Analogiczne ceremonie z innych miejsc i czasów mogą raczej wskazywać na to, że ceremonia chrztu dotyczyła tylko

władcy wraz z jego otoczeniem. Miała też bardziej charakter aktu politycznego niż ideologicznego.

Nie jesteśmy w stanie odtworzyć stanu ducha Mieszka i na pewno można mieć wątpliwości, czy książę pogański kierował się w pierwszym rządzie żarliwością religijną. Zapewne jego konfesja była konsekwencją decyzji dotyczącej wejścia do koalicji państw chrześcijańskich. Być może, nie doceniamy siły jego przekonań religijnych, zbyt sugerujemy się przykładami odstępstw od wiary innych władców w różnych czasach, ale jednak motywy polityczne, potrzeby wzmocnienia pozycji księcia zadecydowały zapewne o jego decyzji. Mimo korzystnych o nim opinii formułowanych przez współczesnego mu kronikarza Thietmara chyba nie był uznawany za szczególnie gorliwego chrześcijanina. Tę opinię może potwierdzać na ogół niespotykany fakt, że Mieszko w przeciwieństwie do innych władców przyjmujących chrześcijaństwo nie został wyniesiony na ołtarze. Włodzimierz na Rusi, Stefan na Węgrzech, Olaf w Norwegii, Eryk w Szwecji, mimo różnych i wielorakich przywar, zostali bowiem uznani za świętych. Być może jednak przyczyną tego stanu rzeczy było peryferyjne położenie państwa polańskiego, jego marginalizacja w polityce środkowej Europy, choć zapobiec tej niekorzystnej sytuacji miało właśnie przyjęcie chrześcijaństwa.

Chrzest Mieszka to istotne ogniwo w długim procesie przyjmowania nowej wiary za swoją przez mieszkańców jego nadwarciańskich ziem. Niewątpliwie stykali się oni z chrześcijaństwem na długo przed 966 ro-

kiem. Wyprawy handlowe i łupieżcze docierały do krajów od dawna schrystianizowanych, z których przybyły także nawiedzali ziemie Polan. Przynoszone były w ten sposób różne znaki wiary – krzyżyki, kielichy, szaty duchownych – i zapewne mniej lub bardziej dokładne przekazy dotyczące odprawianych nabożeństw, wspaniałych budowli sakralnych i piękna kościelnych śpiewów. Niezależnie jednak od stopnia wiedzy naszych przodków o nowej religii chrzest Mieszka stanowił przełomowy etap w procesie jej zaszczepiania i jednocześnie poznawania wielkiego dorobku kultury śródziemnomorskiej.

Proces ten jednak miał trwać bardzo długo, jeszcze przecież w XV wieku Jan Długosz utyskiwał na pogańskie zwyczaje ludu polskiego. Dzień chrztu z 966 roku był kluczowym momentem w dziejach państwa polskiego, ale nie stał się przełomem w życiu jego wszystkich mieszkańców. Trudno zresztą się temu dziwić. Organizacja Kościoła dopiero powstawała, biskupstwo, zapewne w Poznaniu, utworzone zostało w 968 roku. Wielki wysiłek inwestycyjny pierwszych chrześcijańskich władców przyniósł wprawdzie efekty w postaci kilku murowanych kościołów (może też kilkunastu drewnianych?), ale trudno sądzić, by liczba duchownych prowadzących katechizację była odpowiednio duża, chociażby z racji trudności językowych. Nie jest wykluczone, że, tak jak miało to miejsce 150 lat później na Pomorzu, zwoływano wiece (kilkudziesięcio- czy może nawet kilkusetosobowe) i tam po ogłoszeniu woli księcia odprawiano ceremonię chrztu. Można do-

mniemywać, że dla większości stanowiła ona akt woli księcia, którego konsekwencje początkowo odczuwane były w kategoriach różnych zakazów i nakazów.

Innymi słowy termin „chrzest Polski” mieści w sobie treści dwojakiego rodzaju. Pierwsze dotyczą chrztu polskiego władcy, drugie – skutków kulturalnych, politycznych, ustrojowych powstałych w wyniku aktu z 966 roku.

Nie wiemy, jak przebiegała ceremonia chrztu Mieszka. Można podejrzewać, że nie była przestrzegana w przypadku dostojnego neofity reguła obowiązująca w Europie. Przyjęta przez Kościół w IV wieku po Chrystusie była stopniowo modernizowana, liberalizowana, ale dość sztywno przewidywała etapy przyjmowania wiary. Jest bardzo mało prawdopodobne, by przewidywany przez nią okres katechezy w przypadku księcia Polańskiego trwał aż od dwóch do trzech lat. Możliwe, że dwa tygodnie przed Wielkanocą kapłan przekazywał księciu główne prawdy wiary zawarte w Składzie Apostolskim. Nie należy jednak sądzić, by Mieszko uczył się tej modlitwy na pamięć. Jeszcze parę wieków później warunkiem wstąpienia rycerza do Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie – czyli Krzyżaków – było nauczenie się „Ojcze Nasz” w ciągu roku! Nauka polegała na wypowiedaniu przez kapłana „Wierzę w Boga”, a katechumen za każdym zdaniem odpowiadał „wierzę”. Być może, razem odmawiali na tydzień przed chrztem „Modlitwę Pańską”, może – jak przewidywała reguła – w Wielki Czwartek neofita był kąpany, za-

pewne też pościł w Wielki Piątek. W dniu świątecznym kapłan powinien był odprawić egzorcyzmy, podać szczyptę soli, po czym przystąpić do udzielania chrztu. W tym miejscu możemy sobie wyobrazić, jak to się zapewne odbywało. Mieszko namaszczoney, ubrany w białe szaty, wstępował do basenu chrzcielnego i zanurzony po pas polewany był przez kapłana wodą. Taki obraz chrztu, zgodny z ówczesnymi przepisami, ukazuje jedna z kwater Drzwi Gnieźnieńskich.

Nowy członek wspólnoty kościelnej według przepisów z IX wieku polewany był wodą trzykrotnie. Za każdym razem celebrant zęgnął się, wymieniając kolejno imiona Trójcy Świętej, i za każdym razem chrzczony ponownie odpowiadał „wierzę”. Po chrzcie i po namaszczeniu po raz pierwszy brał udział w Eucharystii, stając się pełnoprawnym członkiem Kościoła.

Taki przebieg wydarzeń można sobie wyobrazić na podstawie przepisów obowiązujących w rzymskim Kościele owego czasu. Nie wyjaśnia to różnych wątpliwości. Modlitwy odmawiane były niewątpliwie po łacinie. Zatem odpowiedzi nowo chrzczonych brzmiały zapewne w tymże języku (*credo*). Czy oznacza to, że Mieszko przeszedł krótki kurs nauczania łaciny, tak by mógł – przynajmniej w przybliżeniu – rozumieć treści, na które miał udzielać odpowiedzi? Czy rozumiał wypowiedzane słowa, czy też traktował je jak magiczne zaklęcia, które towarzyszyły działaniom ludzi w świecie pogańskim? W jakim języku wysłuchiwał nauk zawierających nakazy i zakazy wynikające z nowej wiary? Czy znalazł niemiecki na tyle, by rozumieć Jordana (jeśli był on Niem-

cem), czy korzystał z tłumacza, a może to Jordan znał język słowiański? Jest to wszystko możliwe, wydaje się bowiem, że nie doceniamy umiejętności językowych ludzi owego czasu.

W społeczeństwach niepiśmiennych pamięć ludzi musiała być znakomicie wyćwiczona. Należało pamiętać szlaki, którymi (bez map!) przemierzano Europę, treści umów zawieranych między władcami, postanowienia układów rodzinnych, trzeba było wiedzieć, które części ziemi uprawnej należą do rodu. Pamięć zbiorowa, opierająca się na ciągu imion przodków (sięgająca niekiedy wielu pokoleń), pozwalała też na tworzenie więzi społecznych – i węższych w skali rodziny, i tych szerszych, obejmujących wspólnoty terytorialne czy plemienne. Kontakty międzyludzkie wspierane pamięcią ułatwiały zapamiętywanie obcych słów, wyrażeń, zwrotów (dziś potwierdzają to obserwacje transakcji prowadzonych na międzynarodowych bazarach).

W odległej przeszłości może też zadziwić względna łatwość „dogadywania” się członków różnych grup językowych. Słowianie i Germanie, Arabowie i Ugrofowie, Grecy i łacinnicy potrafili prowadzić ze sobą nie tylko transakcje handlowe (te, jak wiadomo, wspomaganie są gestami), ale także prowadzić pertraktacje, zawierać umowy i traktaty, dowiadywać się o obyczajach, formach życia i potrzebach. Być może, także ceremonia chrztu odbywała się przy używaniu paru języków, wykorzystywaniu tłumaczy, co nie oznacza, że wszystkie wypowiedane treści i wykonywane obrzędy były zrozumiałe dla zebranych.

Co prawda, napotymano tu trudności. Sto lat przed chrztem Mieszka pojawiła się informacja zawarta w *Powieści minionych lat*, mówiąca o kłopotach językowych na terenie tzw. Wielkich Moraw. „Gdy Słowianie byli już ochrzczeni, kniaziowie Rościsław i Światopełk, i Kocel posłali do cara Michała [cesarza bizantyńskiego], mówiąc: »Ziemia nasza ochrzczone, lecz nie ma u nas nauczyciela, który by nami kierował i pouczał nas i objaśnił księgi święte; nie rozumiemy bowiem ani języka greckiego, ani łacińskiego. Jedni uczą nas tak, a owi inaczej, dlatego nie rozumiemy ani liter w księgach, ani ich znaczenia. I przyślijcie nam nauczycieli, którzy mogliby nam wyłożyć słowa ksiąg i ich znaczenie«”.

W kręgu wpływów Bizancjum wprowadzano język i pismo, które ułatwiały przyjmowanie nowej wiary. Na Zachodzie, w krajach kultury łacińskiej, a więc i w Polsce, pozostawało głównie, jeśli nie wyłącznie, słuchanie misjonarzy znających miejscową mowę. Nie wiemy, czy Jordan przyprowadził ich ze sobą, czy towarzyszyli Dubrawie, a także tego, jakie treści potrafili przekazywać.

Ilu było świadków ceremonii chrztu, kto do nich należał? Ponownie trzeba udzielić odpowiedzi dla historyka niemilej: nie wiemy. Można tylko spekulować: na pewno obecny był biskup Jordan, świadkiem ceremonii była Dubrawa. Zapewne też obecna była rodzina księcia. Jeden z jego braci zginął w walkach z Wolinianami dwa lub trzy lata wcześniej, ale żył bohater zwycięskiej bitwy pod Cedynią z 972 roku – Czcibor. Mu-

sieli być obecni członkowie dworu książęcego, najbliżsi współpracownicy władcy, osoby towarzyszące Dubrawie, niewątpliwie już wcześniej ochrzczone. Nie wiemy, kto był ojcem chrzestnym, i wreszcie nie wiemy, jakie imię dostał na chrzcie pogański książę. Pogląd wyrażony przed półwieczem przez Jerzego Dowiata, że na cześć biskupa Ratyzbony, Michała, który jakoby miałby być jego ojcem chrzestnym, został ochrzczony tym imieniem, nie jest przez historyków przyjmowany. Także przeciwko tezie uczonego sugerującego, że pogańskie imię księcia brzmiało Dzigoma, świadczy zbyt wiele. Opiera się ona głównie na zepsutym streszczeniu dokumentu wystawionego około 992 roku, stanowiącego darowiznę „państwa gnieźnieńskiego” papieżowi, rozpoczynającego się imionami ofiarodawców: „Dagome” i Ody, jego małżonki. Trudno przypuszczać, by książę-neofita zwracał się do głowy Kościoła pogańskim imieniem, jeśli nosił już imię archanielskiego patrona. Co więcej, imię Mieszko, w różnych formach, było zapisywane już przed chrztem, czy to u saskiego kronikarza Widukinda, czy w relacji Ibrahima ibn Jakuba, podróżnika, może kupca, może dyplomaty z dalekiej Kordoby. jedna z wersji tej relacji (al-Kazwiniego) głosi nawet, że imieniem Mieszka nazywany był cały obszar, nad którym panował. Ponadto imię Dzigomy nie powtarza się w rodzinie piastowskiej w przeciwieństwie do imienia Mieszko (Mieszek – jak chce między innymi Janusz Bieniak), które właściwie było obecne w każdym niemal pokoleniu dynastów polskich do XIII wieku. Już bardziej

prawdopodobne wydaje się nadanie Mieszkowi imienia Dagobert, ze skrótu którego wzięło się owo Dagome. Jest to jednak bardzo wątpliwa poszlaka i wygląda na to, że sprawa chrzestnego imienia naszego księcia czeka jeszcze – z niewielką nadzieją sukcesu – na dalsze badania.

Być może, dałoby się wykorzystać niektóre analogie dotyczące wydarzeń towarzyszących konfesji władców owego czasu. Znamy opis wydarzeń zawarty w *Powieści minionych lat*, towarzyszący przyjęciu chrześcijaństwa przez Włodzimierza Wielkiego na Rusi, które warto tu tytułem porównania przywołać, aczkolwiek nie wydaje się, by można się było doszukiwać licznych analogii. Różnice między Gnieznem i Kijowem były bowiem znaczne. Ruś pozostawała w bliskich kontaktach z Bizancjum, znakomitą ośrodkiem wielkiej kultury na wschodzie Europy. Państwo Mieszka zaś leżało na peryferiach świata łacińskiego Zachodu. Wojowie Włodzimierza wyprawiali się na wszystkie strony świata, Polanie rozpoczęli dopiero ekspansję na pobliskie ziemie. Niemniej warto przytoczyć wydarzenia dotyczące chrztu Rusi, spisane około 100 lat później, jako że przynoszą one parę istotnych informacji mających znaczenie ogólniejsze. Być może, pozostały one w pamięci potomnych, być może, zostały uaktualnione potrzebami piszącego, niemniej są godne uwagi polskich historyków.

Pierwsze wydarzenie dotyczy narad prowadzonych przez księcia ze swymi doradcami. W ich rezultacie książę posłał zwiadowców, którzy opisaliby skutki przyjęcia przez różne ludy rozmaitych konfesji – mu-

zułmańskiej, żydowskiej, „niemieckiej” (obrzędka katolickiego) i „greckiej” (obrzędka prawosławnego). Następnie ponownie „Wezwał Włodzimierz bojarów swoich i starców grodzkich, i rzekł do nich: »Oto przychodzili do mnie Bułgarzy, mówiąc: Przyjmij zakon nasz. Potem zaś przychodzili Niemcy, i ci chwalili zakon swój. Po tych przyszli Żydowie. A oto na ostatku przyszli Grecy, ganiący wszystkie zakony, swój zaś chwalaący [...] Więc co mi poradzicie? Co odpowiecie?«”.

Jak wiadomo, po wysłuchaniu nauk Filozofa, przybyłego z Konstantynopola, po entuzjastycznej relacji wysłanników chwalaących przepych i barwność ceremonii prawosławnych, Włodzimierz wybrał obrządek wschodni. W przypadku Mieszka zapewne nie powstawały wątpliwości, jaki zakon przyjąć, innymi słowy – skąd wziąć wzory przyjmowanej wiary i jej reguły. Takich możliwości dokonywania wyboru nasz książę (biorąc pod uwagę geograficzne położenie kraju Polan) raczej nie miał. Istniały, co prawda, kontakty ze światem islamu, z Kijowem, a więc i z Bizancjum, ale zapewne dość skromne, ograniczone, póki co, do handlu. Nie zapewniały też polskiemu księciu korzyści politycznych – potrzebnego do walk o Pomorze sojuszu z Czechami, nawiązania stosunków z cesarzem rzymskim. W relacji o Włodzimierzu mieści się informacja, skądinąd dość oczywista, że książę zasięgnął rady swego otoczenia. Trudno sobie wyobrazić podjęcie decyzji o chrzcie bez zgody, czy też wbrew poglądom jakiegoś zaplecza społecznego. Czy byli to bojarowie, członkowie znaczących rodzin, zaufani księcia, czy też starszy-

zna miejska (zapewne określani tak wpływowi mieszkańcy Kijowa) – nie wiemy. Natomiast wydaje się pewne, że decyzja o chrzcie musiała być poparta przez elity społeczne skupione wokół księcia na Rusi, zainteresowane kontaktami gospodarczymi z bogatym Bizancjum.

Kolejna ważna informacja dotyczy usuwania starych przedmiotów kultu. Książę Włodzimierz „rozkazał bałwany wywracać: owe rozsiekać, a inne na ogień wydać. Peruna zaś kazał przywiązać koniowi do ogona i wlec z góry [...] do Ruczaju; dwunastu mężów przystawił bić [go] kijami. [...] I przywlekłszy, wrzucili go do Dniepru”. Czy podobne akty publicznego odżegnywania się od starej wiary miały miejsce i we włościach Mieszka? Nic na ten temat nie wiadomo. Biorąc jednak pod uwagę, że nowe kościoły stawiane były na miejscach starego kultu, być może jakieś działania dotyczące zwalania pomników pogaństwa rzeczywiście towarzyszyły obchodom chrztu księcia. Szczegółowiej opisany w *Powieści minionych lat* (źródle z XI/XII wieku) przebieg wydarzeń na Rusi pokazuje wyraźnie, że książę Włodzimierz „kazał budować cerkwie, stawiając je na miejscach, gdzie stały bałwany. I zbudował cerkiew Świętego Wasyla na wzgórzu, gdzie stał bałwan Peruna i inne, gdzie czynili ofiary kniaź i ludzie. I poczęli stawiać cerkwie po grodach i ustanawiać popów, i ludzi do chrztu przywodzić po wszystkich grodach i siołach”. Już w dniu chrztu Włodzimierza „zeszło się ludzi bez liku. Wleźli w wodę, i stali owi po szyję, a drudzy po piersi, młodszy zaś po piersi u brzegu, inni zaś dzieci

trzymając, dorośli zaś brodzili; popi zaś stojąc odprawiali modlitwy”.

Można sądzić, że w państwie Mieszka niespełna 20 lat wcześniej miały miejsce podobne wydarzenia. Najbliższy czasem opis chrztu dokonany przez biskupa Thietmara wspomina, że ludzie „[...] w szatę godową przyodziane, w poczet synów Chrystusowych zostały zaliczone”. Trudno oprzeć się wrażeniu, że polskich analogii do wydarzeń na Rusi było więcej. Nie jest możliwe sprawowanie władzy bez oparcia się na szerszym czy węższym gronie stronników. Można więc sądzić, że Mieszko, podobnie jak czynił to Włodzimierz, zapytywał o radę swych „starszych” – może ważniejszych członków swej drużyny, może uległych mu przywódców niektórych grup plemiennych.

Warto też zwrócić uwagę na inną analogię dotyczącą wprowadzenia chrześcijaństwa. Tradycja dworska i w Gnieźnie, i w Kijowie podkreśla rolę kobiet w dziele nawracania. Ten sam motyw pojawia się w relacji biskupa merseburskiego Thietmara. Nie wchodząc jednak w omawianie wędrownego wątku podania o przyniesieniu prawdziwej wiary przez niewiasty, można tu podkreślić znaczenie chrześcijańskiego otoczenia kobiet na dworze – żony Mieszka Dubrawy, matki Włodzimierza Heleny. Dla ich potrzeb zapewne już przed chrztem budowano kaplice i sprowadzano kapłanów. Mieszko, według Thietmara, „pojął [...] za żonę szlachetną siostrę Bolesława Starszego [księcia Czech – H. S.], która okazała się w rzeczywistości taką, jak brzmiało jej imię. Nazywała się bowiem po sło-

wiańsku Dobrawa, co w języku niemieckim wykłada się: dobra. Owa wyznawczyni Chrystusa, widząc swego małżonka pogrążonego w wielorakich błędach pogaństwa, zastanawiała się usilnie nad tym, w jaki sposób mogłaby go pozyskać dla swojej wiary. Starła się go zjednać na wszelkie sposoby, nie dla zaspokojenia trzech żądz tego zepsutego świata, lecz dla korzyści wynikających z [...] pożądanej nagrody w życiu przyszłym. Umyślnie postępowała ona przez jakiś czas zdrożnie, aby później móc długo działać dobrze. Kiedy [...] po zawarciu [...] małżeństwa nadszedł okres wielkiego postu i Dobrawa starła się złożyć Bogu dobrowolną ofiarę przez wstrzymywanie się od jedzenia mięsa i umartwianie swego ciała, jej małżonek namawiał ją słodkimi obietnicami do złamania postanowienia. Ona zaś zgodziła się na to w tym celu, by z kolei móc tym łatwiej zyskać u niego posłuch w innych sprawach. Jedni twierdzą, iż jadła ona mięso w okresie jednego wielkiego postu, inni zaś, że w trzech takich okresach. [...] Pracowała więc nad nawróceniem swego małżonka i usłuchał jej miłościwy Stwórca. Jego nieskończona łaska sprawiła, iż ten, który Go tak srogo prześladował, pokajał się i pozbył na ustawiczne namowy swej ukochanej małżonki jadu przyrodzonego pogaństwa, chrztem świętym zmywając plamę grzechu pierwородnego”.

Jeszcze mocniej podkreślił rolę księżnej najstarszy kronikarz piszący w Polsce, zwany Gallem Anonimem, w półtora wieku później. Według niego Mieszko „w takich pogrążony był błędach pogaństwa, że wedle swego

zwyczaju siedmiu żon zażywał. W końcu zażądał w małżeństwo jednej bardzo dobrej chrześcijanki z Czech, imieniem Dąbrówka. Lecz ona odmówiła poślubienia go, jeśli nie zarzuci owego zdrożnego obyczaju i nie przyrzeknie zostać chrześcijaninem. Gdy zaś on [na to] przystał [...] pani owa przybyła do Polski z wielkim orszakiem [dostojników] świeckich i duchownych, ale nie pierwszej podzieliła z nim łożę małżeńskie, aż powoli a pilnie zaznajamiając się z obyczajem chrześcijańskim [...] wyrzekł się błędów pogaństwa i przeszedł na łono matki „Kościoła”. Thietmar także pisał, że czeska księżniczka przybyła w wielkim przepychu kościelnej okazałości.

Nie ulega wątpliwości, że przybycie Dobrawy i chrzest Mieszka współcześni i potomni łączyli w związek przyczynowo-skutkowy. Najstarsze roczniki polskie – *Rocznik krakowski dawny*, *Rocznik kapitulny krakowski* – pierwsze zapiski poświęciły tym dwóm wydarzeniom: „rok 965 Dubrawka przybyła do Mieszka, 966 Mieszko książę został ochrzczony”. Nie ulega też wątpliwości, że na decyzji księcia zaważyły różne inne względy. Nie zmienia to jednak faktu, iż wobec tak jednolitej wymowy źródeł trudno pominąć rolę i znaczenie małżeństwa Mieszka z chrześcijańską księżniczką, aktu zapewne realizowanego zgodnie z jego szerokimi planami wzmocnienia swego władztwa.

II. ŚWIAT EUROPY W X WIEKU

Jakim był świat ówczesnej Europy – świat, który zmieniał się w czasach chrztu Mieszka? Jak pisał Jerzy Strzelczyk: „dziwne było owo X stulecie, wiek żelaza, krwi i znoju, jeden z najciemniejszych spośród ciemnych, średnich wieków w dziejach naszej europejskiej cywilizacji [...] kiedy [...] na przekór wszelkim zewnętrznym i wewnętrznym trudnościom mozolnie dobiegał kresu proces jej formowania”. Oczywiście chodzi tu o formowanie przestrzenne, które wprowadziło do „Europy” ziemie zamieszkałe przez Słowian, Węgrów, Skandynawów (na Bałtów trzeba było jeszcze czekać na przestrzeni XIII-XIV wieku). Do „starszej Europy” – dziedzictwa mariażu romańsko-germańskiego – dołączyła jej „młodsza część”, leżąca poza granicami wyznaczonymi przez zasięg Rzymu i tego antycznego, i tego karolińskiego. Przyjmowanie nowych ziem do Europy, której wyznacznikiem było chrześcijaństwo, rozpoczęło się jeszcze w IX stuleciu, by skończyć się już w wieku XI. Niemniej można zaryzykować twierdzenie, że właśnie w X stuleciu powstały zręby porządku politycznego, kulturalnego i gospodarczego, które mimo wszystkich późniejszych przekształceń przetrwały do dziś.

Był to okres, w którym zachodziły w całej Europie procesy kształtujące nowe formy organizacji społecznych. Jeden, który dotyczył Młodszej Europy, określają badacze jako przejście „od plemion do państw”, rozumianych jako organizacje społeczne skupione wokół

swego wodza, księcia (stąd niekiedy określanych jako „państw wodzowskich”) dysponującego silnym narzędziem władzy wykonawczej – drużyną. Drugi proces zmian – w zachodniej części kontynentu – wiązał się, jak chciał J. F. Bergier, z nową organizacją przestrzeni: „przejściem od regionu do narodu”. Znowu można mieć wątpliwości dotyczące znaczenia tego ostatniego terminu. Nie ma jednak wątpliwości, że pod koniec pierwszego tysiąclecia mapa polityczna całej niemal Europy ulegała przekształceniom. Z jednej strony powstawały państwa łączące (lub dzielące) dotychczasowe wspólnoty plemienne, z drugiej zaś rozpadały się te formacje polityczne, które powstawały wcześniej. Trafnie ujął to G. Labuda, pisząc o procesie kształtowania się państw narodowych w Europie w wyniku rozpadu imperium karolińskiego.

Proces ten rozpoczął się już w pierwszej połowie IX wieku, kiedy to traktat w Verdun (843 rok) wprowadził podział spadku po Karolu Wielkim na trzy części. Formalnie uniwersalne cesarstwo Zachodu istniało nadal, ale w rzeczywistości powstało władztwo obejmujące wielkie terytoria plemienne (Szwabia, wschodnia Frankonia, Bawaria, Saksonia) złączone bliskim sobie językiem (*lingua tiudisca*) i obszary zdominowane przez ludność języka romańskiego – francuskiego (Akwitania, Isle de France, zachodnia Burgundia). Rdzeń imperium karolińskiego od Fryzji po Rzym stanowić miał trzecią i główną część dziedzictwa odnowionego cesarstwa. Dwie dzielnice na wschodzie i zachodzie okazały się trwałe; część środkowa zaś za-

mieszkana przez ludy mówiące różnymi językami, nawiązujące do odmiennych tradycji, bardzo prędko zaczęła dzielić się na mniejsze jednostki. We Francji przedstawiciele dynastii karolińskiej wymarli w 987 roku i władzę objął protoplasta dynastii władającej Francją do XIX wieku – Hugo Capet. Na Wschodzie ostatni potomek Karola Wielkiego zmarł w 911 roku i jego miejsce zajął władca wschodniej Frankonii, wkrótce zastąpiony przez księcia Saksonii. Już wtedy, w X stuleciu, nastąpiło trwałe ukształtowanie się Francji i ziem niemieckich, i ten drugi twór – obszary zamieszkałe przez plemiona – stał się ośrodkiem kolejnego „odnowienia cesarstwa rzymskiego” w 962 roku. Książę Saksonii, król Niemiec Otto I, połączył pod swoją władzą kraje sięgające od wschodniej Burgundii i Niderlandów na zachodzie do ziemi Słowian nad Wartą i Wełtawą na wschodzie i od nasady Półwyspu Jutlandzkiego na północy po kresy władztwa papieskiego Rzymu na południu. Bez przesady można powiedzieć, że twór ten, aczkolwiek ulegający różnym przekształceniom, ostatecznie dokonał swego żywota dopiero w wyniku I wojny światowej.

Wspólnota Europy była od samego początku charakteryzowana przez konflikt między uniwersalizmem i regionalizmem czy partykularyzmem. Wyraźnie bowiem już w X wieku współistniały dwie sprzeczne tendencje polityczne, określające kierunki działań nowych elit władzy: pierwsza dotyczyła budowy uniwersalnego państwa, co szczególnie było widoczne na zachodzie Europy; druga – obecna na całym kontynencie – wiąza-

ła się z dążeniami do budowy samodzielnych struktur państwowych (tych wspomnianych wyżej „wodzowskich”). W środowiskach intelektualistów kościelnych i dworskich krystalizowały się idee budowy wspólnoty chrześcijańskiej – *rei publicae christianae* – organizmu, który byłby realizacją wyobrażeń o państwie idealnym, o cesarstwie rzymskim rządzonym przy opieraniu się na prawach gwarantujących pokój i sprawiedliwość. W opozycji do tej koncepcji pozostawały aspiracje i ambicje zarówno margrabiów czy książąt Rzeszy, jak i patrycjuszy rzymskich, królów Francji (Franków Zachodnich) i władców Czech, Węgier, Polski i Danii. Tym, co jednak było i pozostaje nadal ważne dla cywilizacji, jest to, że ów partykularyzm wyrażał świadomość elit lokalnych, poszukujących we własnych obyczajach, we własnym języku i własnej przeszłości świadectw ważnych dla swojej tożsamości zbiorowej. Wielkie czyny przodków mobilizowały współczesnych, ich odrębność kulturowa i polityczna pozwalała na tworzenie rodzimej hierarchii wartości. W powszechnym cesarstwie książę Czech czy król Danii był jednym z wielu, na ogół nie najważniejszych dostojników. W swoim państwie zaś był pierwszą, najważniejszą postacią. Oczywiście i ci przedstawiciele tendencji regionalnych byli zainteresowani w istnieniu szerszych wspólnot, w których udział przynosił im oczywiste korzyści wyrażone sojuszami politycznymi, wzmacnianiem władzy, budowaniem potrzebnych struktur organizacyjnych.

Być może L. Halphen ma rację, twierdząc, że Europa narodziła się między rokiem 700 i 900, ale – na co zwracał uwagę O. Halecki – rozrosła się w X wieku i wtedy też ostatecznie ukształtowała. Podstawową cechą powstałej od 1000 roku struktury była – jeśli chodzi o układ stosunków politycznych – jej dwoistość wiążąca się z powstaniem uniwersalnych państw (cesarstwa rzymskiego obejmującego różne kraje i odmienne grupy językowe) i z przekształcaniem się społeczeństw plemiennych w organizmy wczesnopaństwowe. Wydaje się przy tym, że obie tendencje występowały jednocześnie na obszarach i starej, i nowej Europy.

Szczególnie ważna dla dziejów Europy była druga połowa X wieku, w czasie której ponownie wzmocniło się Bizancjum, pokonanie Węgrów przez Ottona I umożliwiło odnowienie cesarstwa zachodniego i ponowne ożywienie idei budowy „chrześcijańskiej Rzeczypospolitej” (*reipublicae christianae*). Jedność odnowionego cesarstwa rozsadzały jednak narodziny wschodnich monarchii, książęta bawarscy, ambicje lokalne patrycjuszy rzymskich, a także działania władców Czech, Węgier i Polski, dążących do uzyskania możliwie silnej pozycji. Dla czeskiego Bolesława, węgierskiego Gejzy, polskiego Mieszka, podobnie jak dla władców Skandynawii i Rusi, udział w tej wspólnotce przynosił oczywiste korzyści mierzone sojuszami politycznymi, wzmocnieniem władzy, budową potrzebnych struktur organizacyjnych.

Oczywiście już w 900 roku na naszym kontynencie, przynajmniej od dwóch stuleci, trwał świat cywilizacji chrześcijańskiej oparty na tradycjach prawnych, gospodarczych i organizacyjnych antycznego Rzymu. W jego granicach istniały dwa kręgi: jeden zamieszka-ny głównie przez mniej lub bardziej zromanizowane plemiona germańskie, dawnych mieszkańców Imperium w Galii, Italii, Germanii oraz drugi – grecki, wokół Bizancjum, zamieszka-ny w znacznym stopniu przez Słowian. Poza nim – oddzielony peryferiami mieszczą-cymi się w granicach państw postrzymskich, zmien-nych w czasie i przestrzeni – znajdował się „świat bar-barzyński”, tak określany w źródłach od czasów an-tycznych, też wieloplemienny i wielojęzykowy. Obej-mował on obszary leżące poza światem chrześcijań-skim, ściślej mówiąc – poza granicami wyznaczonymi przez zasięg cesarstwa rzymskiego, i tego wschodnie-go, przetrwałego od czasów wędrówek ludów, i tego stworzonego przez Karola Wielkiego. Istniały ponadto różne kraje ukształtowane w pierwszych wiekach po katastrofie niszczącej dawne Imperium: Irlandia, króle-stwa anglosaskie. Łącznie były to obszary sięgające na zachodzie rzeki Ebro, na wschodzie Łaby. W roku 1000 świat chrześcijańskiej Europy obejmował już dwukrot-nie większe obszary, znacznie rozleglejsze, sięgające górnej Wołgi, Skandynawii i Karpat Wschodnich.

Nie od razu świat za Łabą i Dunajem stał się dla rządzących elit ówczesnej Europy obszarem znanym. Nadal zamieszkiwany był przez ludy, z którymi kontakt był trudny, ich języki mało zrozumiałe, a wyobrażenia

o świecie całkowicie odmienne od przyjętych na Zachodzie. Ponadto był to obszar bardzo rozległy, w postrzeganiu ludzi znad Morza Śródziemnego nie miał granic. Wczesne średniowiecze przyniosło ze sobą wyraźny regres wiedzy geograficznej współczesnych w porównaniu z dokonaniem uczonych z czasów starożytnych – Strabona, Ptolomeusza, Pomponiusza Meli. Kraje śródziemnomorskie, obszary wielkiej kultury, miały – jak się wydaje nieco paradoksalnie – bliższe kontakty z odległymi państwami Azji niż z „ziemią nieznaną” (*terra incognita*) rozciągającą się za Łabą i Dunajem. Jeszcze w XII wieku Anglik Ryszard Halldingham sporządził mapę Europy (dziś w katedrze Hareford), która graficznie obrazuje ówczesny stan wiedzy geograficznej. O ziemiach Polski praktycznie nie wiadomo prawie nic. Znane były jedynie niektóre porty bałtyckie, wspomniane było Gniezno, miejsce kultu św. Wojciecha. Niewiedza, wsparta podaniami, wzmiankami pisarzy starożytnych i bujną wyobraźnią, skutkowałą umieszczaniem na pobliskich nam terytoriach różnorodnych stworów. Umieszczano więc na nich ziemie Amazonek (które w czasach Mieszka, według opinii głoszonych na dworze, miały sąsiadować z Polską), syreny, istoty bez głowy, na piersiach których umieszczone były oczy i usta. Obok nich zamieszkiwali „psiogłowcy”, którzy w miejsce ludzkiej twarzy mieli psie pyski, a także twory o jednej tylko, ale za to bardzo dużej nodze, którą mogli zakrywać się przed deszczem i słońcem. Dla współczesnych obszarem znanym była „wspólnota chrześcijańska” (acz bardziej

precyzyjnie można by mówić o „wspólnocie chrześcijańskich władców”).

Czy możemy w przybliżeniu określić rozległość ziem zamieszkanych przez tę wspólnotę? Kontynent europejski obejmuje nieco ponad 10 milionów km². Nowe chrystianizowane ziemie zajmowały ponad połowę jego powierzchni. Nie był to obszar jednolity geograficznie. Odmienności występowały w krajobrazie naturalnym, w klimacie, w rzeźbie terenu. Północno-wschodnie krańce kontynentu pokrywały wielkie puszcze, na południowym wschodzie dominował lasostep, na północy i w centrum biegły pasma górskie poprzecinane dolinami rzecznyymi, ułatwiającymi żeglugę, podobnie jak poszarpane wybrzeża krajów skandynawskich. Wszystkie te tereny były zamieszkałe przez różnorodne grupy etniczne. Owe różnice językowe stanowiły z jednej strony barierę między ludzkimi wspólnotami, z drugiej jednak – w warunkach coraz żywszych migracji i wzrastającej wymiany towarów – stawały się czynnikiem wymuszającym szukanie wspólnego języka, niekiedy tylko gestów i znaków, z biegiem lat – także mówionego. Na Zachodzie językiem wspólnym była łacina, na Wschodzie greka.

Istotne podziały dotyczyły uznawanej – bo niekoniecznie wyznawanej – religii. W X wieku trzy wielkie kręgi wyznaniowe na ogół zwalczały się wzajemnie, mimo utrzymywania stałych kontaktów gospodarczych. Krąg chrześcijański, teoretycznie stanowiąc chrześcijańską jedność, obejmował dwa cesarstwa rzymskie: wschodnie i zachodnie. Jednak coraz silniejsze rozbież-

ności ustrojowe i kulturalne przygotowywały już rozłam między prawosławiem i katolicyzmem. Dodać trzeba, że cesarstwo bizantyjskie było tworem dobrze jeszcze zakorzenionym w Azji, a Konstantynopol w tym czasie przeżywał okres renesansu politycznego, kulturalnie dominując nad Rzymem. Początek stulecia był bowiem dla Zachodu bardzo niekorzystny; walki wewnętrzne o władzę, najazdy ze wszystkich stron świata, rozpad polityczny państwa karolińskiego – wszystkie te czynniki mogły powodować wrażenie generalnego kryzysu świata łacińskiego. Druga połowa stulecia przyniosła zmiany związane z odnowieniem cesarstwa na Zachodzie (w skromniejszych granicach niż te, które wyznaczył Karol Wielki) oraz z początkami reform kościelnych. W tym czasie także, w ciągu X wieku, do wspólnoty chrześcijańskiej zostało przyjętych siedem kształtujących się organizacji państwowych. W porządku chronologicznym były to – Czechy, Dania, Węgry, Polska, Ruś, Norwegia i Szwecja.

W tej „barbarzyńskiej” Europie istniały też zasadnicze różnice ustrojowe, dotyczące przede wszystkim form więzi społecznych. Na ogół przyjmuje się założenie, że zaznaczała się wówczas opozycja między ustrojem państwowym a ustrojem plemiennym. Nie jest jednak ono w pełni użyteczne, jako że istniały różne warianty w obu tych systemach. Nawet podobne więzi społeczne były odmienne pod względem tradycji i ideologicznych podstaw władzy. Różniły się między sobą państwa i różniły się struktury plemienne „przedpaństwowe”.

Drugi krąg religijny wyznaczony był przez wyznawców islamu. Na kontynencie europejskim nie był on duży, obejmował jedynie znaczną część Półwyspu Iberyjskiego, skrawki południowych Włoch. Ziemie te były przyczółkami świata muzułmańskiego, co prawda, wewnątrznie podzielonego, ale obejmującego terytoria rozleglejsze od świata chrześcijańskiego, sięgające od Atlantyku przez północną Afrykę, Bliski Wschód, Iran aż do Indii, bogate w ośrodki kultury, przeżywające okres największego rozkwitu. W okresie IX–XI wieku ów świat islamu przeżywał czas największego rozkwitu gospodarczego, politycznego i kulturalnego. Podróżnikom i kupcom arabskim zawdzięczamy chociażby lepszą wiedzę o stosunkach na słabo znanych terenach Europy, między innymi Rusi, Węgier, Czech i Polski. Bogactwa arabskiego Wschodu – w jakiejś mierze odzwierciedlane w powstałych wówczas *Baśniach z 1001 nocy* – szlachetne kruszce, drogie kamienie, wyroby tekstylne i metalowe, były nieporównywalne z zasobami nie tylko „młodszej”, ale i „starszej” Europy, już w czasach Karola Wielkiego kontakty handlowe ze Wschodem stawały się coraz częstsze, bądź przez kalifata kordobański na Półwyspie Iberyjskim, bądź przez porty bizantyjskie, przede wszystkim Konstantynopol. Nie wchodząc w mechanizmy tej wymiany, można jedynie w tym miejscu ocenić, że stanowiła ona czynnik łączący rozległe i różnorodne ziemie monarchii karońskiej. Z jednej strony daleki handel wpływał na kształtowanie sieci połączeń gospodarczych wzmacniających strukturę organizacyjną państwa, z drugiej zaś

strony – stwarzał nowe źródła majątności kupców, pomnażał zasoby możnych posiadaczy ziemskich. Dzięki cłom i mytom wzbogacał się też skarb królewski i wreszcie – co w warunkach odbudowy zniszczonej Europy też było nie bez znaczenia – tworzył nowe grupy zawodowe (przewoźników, celników, strażników – ludzi żyjących z wielkiego handlu).

W obu tych kręgach mieściła się też ludność trzeciej, wielkiej religii monoteistycznej – judaizmu, którego wyznawcy szczególnie licznie byli obecni w muzułmańskiej Hiszpanii, w północnych Włoszech i w Nadrenii. Na skraju południowo-wschodnim Europy istniało państwo Chazarów, którzy też przyjęli religię żydowską.

„Trzeci świat” – już niejednolity – nazywany pogańskim, zamieszkany był przez Skandynawów, Słowian zachodnich i wschodnich, Bałtów, Ugrofinów (Węgrzy, Finowie, Estowie), wreszcie przez liczne grupy pochodzenia tureckiego, irańskiego czy nawet mongolskiego. Terytorialnie świat pogański zdawał się zdecydowanie rozleglejszy od chrześcijańskiego; warto jednak przyjrzeć się bliżej tej pozornej przewadze, by lepiej zrozumieć wydarzenia zachodzące na przełomie tysiącleci.

Rzecz jasna, wszystkie szacunki liczbowe mają charakter bardzo hipotetyczny, niemniej dają zapewne pojęcie o sytuacji demograficznej. Niezależnie jednak od tego, czy dotyczą obszarów Niemiec, Francji, krajów skandynawskich czy nawet Włoch, opierają się na założeniu, że istniały, jak chciał Marc Bloch, tylko

mniejsze czy większe „wyspy osadnicze” rozrzucone pomiędzy obszarami prawie bezludnymi. Przybliżone odtworzenie dawnego zasięgu puszczy, bagien, gór, tundry lub stepu prowadzi do wniosku, że w zależności od poszczególnych regionów Europy pustki osadnicze obejmowały od połowy do trzech czwartych ich całego obszaru. W granicach państw karolińskich zajmowały one około połowy terytorium, w krajach słowiańskich od 60 do 80 procent powierzchni, w tajgach północno-wschodnich – zapewne znacznie ponad 90 procent. Jeśli zatem rozważyć wydarzenia zachodzące w Europie u przełomu tysiącleci, to branie pod uwagę rozległych obszarów nieomal bezludnych miałyoby się z celem.

Według demografów o aktywnych działaniach wspólnot ludzkich można by mówić (nie spierając się o szczegóły) na obszarze blisko 5 milionów km². Dawne ziemie cesarstwa rzymskiego zajmowały około 2 milionów km² (w tym europejska część Bizancjum – około 200 tysięcy km²); obszary Germanii włączone do monarchii Franków wschodnich – około 300 tysięcy km²; Węgry, Polska, Czechy, Bułgaria, Serbia, Chorwacja – nieco więcej; kraje skandynawskie – nie biorąc pod rachubę dalekiej Północy – około 500 tysięcy km²; Bałtowie i Ruś – około 1 miliona km², podobnie jak stepy zamieszkałe przez Bułgarów Nadwołżańskich i Chazarów. Jeśli przyjąć te prowizoryczne wyliczenia, to okaże się, że Europa chrześcijańska obejmowała około 2,5 miliona km², muzułmańska – około 500 tysięcy km², judaistyczne państwo Chazarów – blisko 1 milion km², a pozostałe obszary około 900 roku –

około 2 milionów km^2 – zamieszkiwała ludność pogańska. Przeciętne zaludnienie wynosiłoby więc około 6 mieszkańców na km^2 , ale w krajach chrześcijańskich i w muzułmańskiej Hiszpanii przeciętna liczba mieszkańców przypadających na 1 km^2 wynosiła około 8 osób, na pozostałych zaś obszarach zamieszkanym przez około 10 milionów ludzi zagęszczenie było mniejsze i wynosiło około 4 osób na km^2 .

Henryk Łowmiański sądził, że w Polsce w 1000 roku na kilometrze kwadratowym mieszkało około 4 do 5 osób, w Czechach – około 6 osób, a na obszarze Rusi – i tu różnice w tych ocenach są największe – od 3 do 6 mieszkańców. Podkreślał on także bardzo istotne odmienności między ziemiami położonymi na północy kraju (około 3 osób na 1 km^2) a żyznymi obszarami na pograniczu lasów i stepów. Według wielu badaczy około 1000 roku ziemie niemieckie liczyły około 8 (a może nawet 10) mieszkańców na km^2 , Anglia (i tu dane są nieco pewniejsze) około 6 mieszkańców. Obliczenia dokonywane dla poszczególnych państw wymagają zresztą też dodatkowych uściśleń. Rejony Schwarzwaldu były bardzo słabo zaludnione, dolina Renu, a szczególnie Niderlandy, miała zapewne zaludnienie dochodzące do 20 (a może nawet większej liczby) mieszkańców na km^2 . Podobnie wyglądały stosunki we Francji i we Włoszech; Basen Paryski należał do regionów najgęściej zaludnionych w Europie (30-40 ludzi na km^2). Masyw Centralny i Alpy były oczywiście terenami nieznacznie nasyconymi osadnictwem. We Włoszech obok

nieomal pustych obszarów w Alpach istniały tereny o gęstym zaludnieniu, jak Kampania rzymska czy Friul.

Różnice demograficzne między poszczególnymi regionami Europy określane były także przez wielkość głównych skupisk ludności – miast. Czy można jednak w ogóle mówić o miastach Europy w X wieku? Miasta mogą być widziane jako największe skupiska ludności na rozpatrywanym terenie, jako ośrodki produkcji i handlu, jako osady wyróżniające się zabudową i planem przestrzennym. Mogą także być definiowane swym ustrojem społecznym odmiennym od skupisk zamieszkałych przez ludność rolniczą czy utrzymującą się z hodowli. Wreszcie – co z punktu widzenia historyka stanowić może ich najważniejszy wyróżnik – ośrodki zwane miejskimi stanowią obszary szczególnie intensywne kontaktów międzyludzkich. Ułatwiały one przejmowanie i wymianę nowych form działalności, wynalazków, sposobów myślenia, stwarzały możliwości wzajemnego poznawania się. Innymi słowy, „miasta” stanowiły „miejsca szczególne” (taka jest geneza ich nazwy w językach słowiańskich, germańskich, ugrofińskich), wyróżniające się z otaczającego je obszaru.

Nie ulega wątpliwości, że dwie pierwsze cechy można obserwować już we wczesnośredniowiecznej Europie. Uprawniają do tego wniosku różne przesłanki, przede wszystkim wielkość istniejących ośrodków. Niezależnie od tego, czy liczba mieszkańców Konstantynopola dochodziła do 800 tysięcy, czy była prawie o połowę niższa, stolica cesarstwa wschodniego stano-

wiła miasto porównywalne swoją wielkością z miastami starego Rzymu imperialnego. Obok Konstantynopola wielkimi ośrodkami demograficznymi były: Saloniki, Dyrrachion, na Półwyspie Apenińskim Neapol, Amalfi, Mediolan. Wydaje się, że urbanizacja poczyniła największe postępy przed 1000 rokiem w strefie muzułmańskiej. Największe miasto iberyjskie – Barcelona – było już w rękach chrześcijan, ale muzułmańskie Toledo, Sewilla, Kordoba, Evora stanowiły liczące się w świecie ośrodki handlu, rzemiosła i usług. Europa łacińska była na pewno mniej zurbanizowana, jednak Rzym, Akwizgran, Paryż, Tuluza, Gandawa i Kolonia stanowiły także ośrodki liczące niekiedy po kilkanaście (czy jak Paryż – może nawet kilkadziesiąt) tysięcy mieszkańców.

W porównaniu z mapą miast na Południu i Zachodzie siatka urbanistyczna za Labą i Dunajem przedstawiała się nad wyraz skromnie. Istniały tam wprawdzie duże, stosunkowo liczebne ośrodki, jak: Praga, Kijów, Wolin, ale – po pierwsze – było ich zdecydowanie mniej, a po drugie – były one rozrzucone rzadko, na rozległych przestrzeniach i, może z wyjątkiem Kijowa, były one znacznie mniejsze niż miasta zachodnie. Bardzo optymistycznie licząc, można przyjąć, iż zaludnienie Wolina sięgało wielkości kilku tysięcy mieszkańców; może nieco większa była Praga, ale już Gniezno czy Kraków zamieszkiwało najpewniej mniej niż 5 tysięcy mieszkańców.

Istotne były ponadto różnice w funkcjach społecznych i gospodarczych miast. W Bizancjum przetrwały

tradycje antyczne pozwalały na istnienie różnych wspólnot zawodowych, na działania o szczególnym znaczeniu gospodarczym: rozwinięte operacje pieniężne, wielki handel, wyspecjalizowane rzemiosło, rozbudowane rozmaite usługi. Na Zachodzie w miastach społeczny podział pracy nie był jeszcze tak rozwinięty, ale już w X wieku pojawiły się pierwsze grupy ludzi, które wyłamywały się z trójdzielnego schematu społecznego „modlących się, walczących i pracujących” (pracujących na roli i w rzemiośle). Już w niedługim czasie miało dojść do bardzo ważnego przełomu w rozwoju cywilizacji europejskiej – powstawania miejskich gmin samorządowych.

Na obszarze wszystkich kręgów cywilizacyjnych w X stuleciu miasta stanowiły jeszcze ośrodki władzy państwowej, tak zresztą jak w całym ówczesnym świecie. Jednak już wówczas w Europie Zachodniej pojawiały się pierwsze oznaki tworzącej się nowej grupy, której celem – w największych ośrodkach – stawało się uzyskanie możliwie najszerszych uprawnień, niezależnych od pana terytorium. Pod tym względem miasta „kręgu pogańskiego” przypominały arabskie i bizantyjskie ośrodki na kontynencie; na ich przekształcenia ustrojowe przyjdzie czekać jeszcze przez trzy wieki.

Warto zwrócić uwagę na brak wyraźnej granicy, i prawnej, i zawodowej, oddzielającej w X wieku mieszkańców wsi od mieszkańców miast, co wynikało – szczególnie w naszej części Europy – z łączenia różnych zajęć w ręku jednego człowieka. Wojownik był jednocześnie rolnikiem, łowcą, a nierzadko i kupcem.

Jak wynika z powyższych rozważań, zarówno w X wieku, jak i później Europa dzieliła się na różne kręgi ustrojowe, gospodarcze, kulturalne, co skłania historyków do podejmowania prób mających na celu określenie i nazwanie różnych części składowych cywilizacji europejskiej. Najczęściej stosowane określenia geograficzne: „Europa Środkowa”, „Europa Północna”, „Europa Środkowo-Wschodnia” to tylko niektóre próby ustalenia części składowych większej całości. Więcej treści niesie ze sobą nazwa „Europa Chrześcijańska”, spadkobierczyni tradycji: kultury antycznego, ale już chrześcijańskiego Rzymu. To określenie jest przydatne, ale należy pamiętać o coraz wyraźniejszej granicy między bizantyjskim Wschodem i rzymskim Zachodem. Na pewno Bizancjum stanowiło kontynuację późnoantycznego Rzymu, cesarstwo karolińskie zaś wykorzystywało znacznie bardziej tradycje plemienne ludów zasiedlających jego obszary. Poziom nauki, sztuki był na Wschodzie znacznie wyższy, a rzymski Zachód był w owym czasie pod wpływem kultury i ustroju społecznego ludów przybyłych na ziemię dawnego cesarstwa w okresie VI–VII wieku. Zapewne odmienności cywilizacyjne powodowały różnice między prawosławiem i katolicyzmem. Trudno sobie bowiem wyobrazić, by interpretacja dogmatu o istocie Ducha Świętego, która stała się powodem ostatecznego zerwania Rzymu z Konstantynopolem, decydowała o wyborze wyznania i powodowała wzajemne niechęci między katolikami i prawosławnymi. W grę wchodziły przede wszystkim sprawy wielkiej polityki, położenia geograficznego,

a następnie wyraźnej odmienności obyczajów. Stąd wywodziły się spory o kształt Kościoła na Wielkich Morawach.

Różnice w obyczajach w X wieku były między innymi widoczne w używanym języku uniwersalnym, jednak prawosławie stwarzało podstawy rozwoju języków rodzimych, i – co bodaj ważniejsze – ich formy pisanej. Powstawanie tekstów w językach słowiańskich – ruskim, bułgarskim – doprowadziło do zdumiewającego rozkwitu rodzimej literatury na wschodzie i południu Europy. W cesarstwie bizantyjskim na pewno wyżej niż na Zachodzie stały: oświata, nauka, malarstwo, architektura. Być może cesarski pałac w Akwizgranie można by porównywać z rezydencjami egzarchów bizantyjskich, ale już świątynie Kijowa wyraźnie przewyższały jakością architektury i programem malarskim kościoły Gniezna, Pragi, Roskilde. Na Wschodzie budowle były wspanialsze, a rozbudowane ceremonie dworskie i uroczystości religijne czyniły wielkie wrażenie na przybyszach, wspanialsze były wystroje budowli. Kiedy wysłannicy Włodzimierza Wielkiego przybyli do Konstantynopola, by porównać nabożeństwa prawosławne z widzianymi poprzednio uroczystościami łacińskimi, cesarz (według *Powieści minionych lat*) „posłał do patriarchy, mówiąc tak: »Przyszła Ruś badać wiarę naszą; przygotuj cerkiew i kler, i sam przyoblecz się w szaty patriarsze, niech widzą chwałę Boga naszego«. To słysząc patriarcha kazał zwołać kler, wedle obyczaju odprawił świąteczne nabożeństwo, i kadzidła zapalono, i chóry wykonały pienia.

I poszedł car z nimi do cerkwi, i postawili ich na przestronnym miejscu, pokazując im piękno cerkiewne, pienia i nabożeństwo archijerejskie, obrzędy diakonów, opowiadając im o służeniu Bogu swemu. Oni zaś w zdumieniu będąc, dziwili się, chwając nabożeństwo ich”. Relacjonując swą wizytę Włodzimierzowi, posłowie mieli jakoby powiedzieć: „I przyszliśmy do Greków, i wiedli nas, gdzie służą Bogu swojemu, i nie wiedzieliśmy, w niebie li byliśmy, czy na ziemi: nie ma bowiem na ziemi takiego widowiska ni piękna takiego, i nie wiemy, jak opowiedzieć o tym, tylko to wiemy, że tam Bóg z ludźmi przebywa, i nabożeństwo ich jest najlepsze ze wszystkich [...]”.

Jak wynika z owej relacji, niezależnie od ówczesnych racji politycznych, duże znaczenie przy wyborze wyznania miały także atrakcyjne formy kultury w Bizancjum. Opowiedzenie się za wersją wschodniego chrześcijaństwa miało mieć jednak w niedalekiej przyszłości poważne konsekwencje. Już w następnym stuleciu pojawiły się na Zachodzie, w kręgu cywilizacji Rzymu, dwa istotne zjawiska: po pierwsze – możliwości wyboru władzy na podstawie wyboru odmiennych koncepcji ideologicznych (oczywiście także politycznych): papież czy cesarz, władza świecka czy duchowna; po drugie – na Zachodzie już pod koniec X wieku pojawiły się pierwsze zwiastuny samorządów terytorialnych, które także stanowiły alternatywę władzy państwowej, takie jak samorządne komuny. Na Zachodzie też miały w przyszłości wykształcić się takie formy ustrojowe, jak monarchia stanowa i parlamenta-

ryzm. W kręgu cywilizacji łacińskiej powstawały różnorodne wspólnoty zakonne, wszechnice uniwersyteckie tak charakterystyczne w czasach późniejszych. Tam też kształtowały się postawy dotyczące poszukiwania nowych rozwiązań, odpowiadających zmieniającym się potrzebom gospodarczym i politycznym. Zapewne, jak wynika to z ostatnich badań Karola Modzelewskiego, wpływały one z tradycji plemiennych („barbarzyńskiej Europy”) nakładanych na dorobek kulturalny antycznego cesarstwa rzymskiego.

Dla zachodniej części kontynentu schyłek IX wieku po Chrystusie nie był pomyślny mimo znaczącej roli papieży-reformatorów: Mikołaja I, Hadriana II i Jana VIII (panujących w latach 858-882). Kościół rzymski stał wobec wielu wyzwań. Pierwsze wielkie pęknięcie chrześcijaństwa w czasie konfliktu patriarchy konstantynopolitańskiego z papieżem (867 rok) stwarzało zapowiedź późniejszego rozłamu, walki frakcji możnowładnych w Rzymie o tron św. Piotra, narastającej korupcji, symonii – wszystkie te zjawiska przyniosły w początkach X wieku upadek autorytetu Stolicy Apostolskiej. Odnowione przez Karola Wielkiego w 800 roku rzymskie cesarstwo zachodnie w przeciągu około 30 lat uległo rozpadowi, który prowadził do wzrastającego chaosu politycznego.

Wielkim utrapieniem zachodniego cesarstwa przynajmniej od początków IX wieku byli Normanowie, których lotne oddziały najeżdżały na miasta, wsie i klasztory, rabując, paląc i porywając ludzi do niewoli. Na przełomie IX i X wieku do najazdów włączyły się ko-

czownicze plemiona Węgrów, którzy zapuszczali się aż do północnych Włoch i do Burgundii, zmuszając Sasów nawet do płacenia stałego trybutu.

Nie lepiej działo się w Bizancjum zagrożonym przez Arabów, Irańczyków, a także przez turecki lud Protobułgarów. Ich chan – Krum – na początku IX wieku miał jakoby pijać podczas uczt z kielicha utworzonego z czaszki zabitego cesarza Nikefora I. Walki wewnętrzne, narastające konflikty z papieżstwem zakończyły się dopiero na czas jakiś wraz z objęciem tronu przez cesarza Bazylego I, założyciela dynastii macedońskiej (867 rok). Sukcesy odnoszone w Italii, w walkach z Bułgarami, w reformach administracji pozwoliły na ustabilizowanie stosunków w cesarstwie wschodnim. Wtedy też, dzięki dwóm braciom misjonarzom z Salonik – Konstantynowi (Cyrylowi) i Metodemu – została przyśpieszona chrystianizacja Słowian zamieszkujących na południowych stokach Karpat nad Dunajem. Już od trzeciej dekady IX wieku na Morawach istniały organizacje plemienne czy wczesnopaństwowe, podległe mniej lub bardziej cesarstwu karolińskiemu. Kolejni »władcy Moraw – Mojmir, Rościsław, Świętopełk – stopniowo uzyskiwali coraz większą niezależność, doprowadzając państwo Wielkich Moraw do rozkwitu. Wtedy właśnie w siedemdziesiątych latach IX wieku po raz pierwszy pojawia się wzmianka o politycznych dziejach dzisiejszych ziem polskich, znajdująca się w *Żywocie świętego Metodego* z końca IX wieku. „Żył bowiem w owych czasach potężny książę pogański siedzący we Wiślech, urągał wiele chrześcija-

nom i krzywdy im wyrządzał” – głosi *Żywot świętego Metodego*. Apostoł „słał do niego mówiąc: dobrze będzie dla Ciebie, synu, ochrzcić się z własnej woli na swojej ziemi, abyś nie był przymusem ochrzczony w ziemi cudzej [...] tak się też stało”.

Nie wiemy, gdzie rezydował ów książę (być może w Krakowie), nie wiemy, czy jego chrzest „w ziemi cudzej” skutkowało wprowadzeniem religii do jego kraju; nie ma zgody wśród historyków, czy „ziemia Wiślan”(?), tak nazywana przy okazji opisu „grodów na północ Dunaju”, także w IX wieku została włączona do państwa Wielkich Moraw. Dla niniejszych rozważań powyższa wzmianka jest jednak istotna. Chrześcijaństwo było znane (raczej w mniejszym niż większym stopniu) nad Wisłą prawie 100 lat przed chrztem księcia polańskiego Mieszka w 966 roku.

Mimo opóźnienia w rozwoju kultury i stosunków społecznych czasy korzystnej koniunktury w X wieku przeżywał trzeci krąg Nowej Europy czy Młodszej Europy – jak go nazywa Jerzy Kłoczowski. Nazwa ta trafnie oddaje charakter obszaru, który został włączony do wspólnoty chrześcijańskiej w ciągu tego stulecia. Pojawiły się wówczas na mapie politycznej państwa, które niezależnie od najróżniejszych perturbacji dziejowych przetrwały do czasów dzisiejszych. Europa wzbogaciła się o nowe grupy językowe, obyczajowe, a jednocześnie pozostała wyznaniową – chrześcijańską wspólnotą, niezależnie od coraz głębszych różnic dzielących Rzym od Konstantynopola.

Nowa Młodsza Europa ukształtowała się – jak to datuje J. Fried – w latach 840–1041. Oczywiście można się spierać co do poszczególnych dat i na przykład przesunąć początkową na lata ostatniej ćwierci IX stulecia. Jednak zaproponowane daty wyznaczają ogólny czas procesów istotnych dla tworzenia Nowej Europy, jeśli wcześniejsze eksperymenty – powstawanie pogańskiego państwa Samona czy chrześcijańskiego państwa Wielkich Moraw – nie zakończyły się trwałym sukcesem, to wydarzenia tworzące siedem nowych, chrześcijańskich organizacji państwowych doprowadziły do efektów trwałych do dziś. W porządku chronologicznym: Czechy, Dania, Polska, Węgry, Ruś, Norwegia i Szwecja weszły, przynajmniej formalnie, do grona chrześcijańskich państw Europy. W miejsce idei obejmującej w IX wieku trzy kręgi Europy (*Cres praestemptriores Europas species*), Galię, Italię i Germanię, w ponad 100 lat później pojawiła się nowa, składająca się z czterech części. „Roma, Galia, Germania i Sclavinia” przedstawione na miniaturze z około 1000 roku stanowić miały zjednoczoną pod berłem cesarza rzymskiego chrześcijańską Europę. Mimo że polityczny zamysł nie został zrealizowany, Sclavinia (obejmująca zapewne wówczas Polskę, może i Węgry) weszła w skład rzymskiej wspólnoty chrześcijańskiej. Chrzest Mieszka stanowił akt jej akcesu do europejskiej cywilizacji.

III. POLANIE I POLSKA W NOWEJ EUROPIE

Warto spojrzeć na akt dokonany w 966 roku z nieco szerszej perspektywy i czasowej, i przestrzennej. Jest swoistego rodzaju paradoksem, że państwo Piastów uzyskało w ciągu dwóch pokoleń status jednego z głównych aktorów wydarzeń dziejących się na arenie Europy Środkowej. Paradoksem, bo jeszcze dwa pokolenia przed Mieszkiem ziemia polskie leżały na peryferiach powstającego świata chrześcijańskiej Europy. Kraje sąsiednie były w większym stopniu obecne w stosunkach międzynarodowych. Na Południu powstała organizacja tzw. Wielkich Moraw, jedno z pierwszych lepiej nieco znanych państw słowiańskich. Wyróżniała się na obszarach graniczących z cesarstwem karolińskim rozległością swego obszaru, liczebnością wielkich jak na owe czasy skupisk osadniczych („miast możnowładczych”, jak nazywał je Aleksander Gieysztor), takich jak Mikulčice, Devin, Stare Mesto, a przede wszystkim przeprowadzoną chrystianizacją elity władzy. Tam działali apostołowie Europy – Cyryl i Metody – przynosząc nie tylko zasady religii, ale także doświadczenia i Rzymu, i Konstantynopola, niewątpliwie najbardziej rozwiniętego ośrodka ówczesnej kultury europejskiej. Stworzyli oni także pisma, które miały być łącznikiem ludów osiadłych między dwoma cesarstwami.

Na Wschodzie powstała stworzona już przez Waregów organizacja skupiająca mniej lub bardziej luźno dziesiątki plemion wschodnich Słowian, obejmując do-

rzecze Dniepru, Newy, górnej Wołgi, rozległością przetrastając sąsiednie wspólnoty. Jej powstanie w znacznej mierze stymulowane było przez wielką drogę (może: liczne drogi) łączącą zlewiska Bałtyku i Morza Czarnego, którą przewożone były poszukiwane towary przez ówczesne „światy cywilizacji”: bizantyjski, arabski, perski, frankijski, wreszcie skandynawski. Właśnie ten ostatni w X wieku przeżywał okres rozwoju demograficznego i towarzyszącej mu ekspansji politycznej, gospodarczej. Skandynawowie sięgnęli swą władzą Brytanii, północnej Francji, mieli w bliskim czasie opanować południowe Włochy i założyć dynastie panującą na Rusi. Szlaki skandynawskie (wikingów, Waregów) biegły Bałtykiem, nad którym przynajmniej od VIII wieku powstawały wielkie (jak na owe czasy) emporia handlowe: Haithabu, Stara Lubeka, Arkona, Wolin, Truso, Wiskiauty.

Wreszcie na Zachodzie, niezbyt daleko od granic późniejszej Polski, za Łabą rozciągało się państwo karolińskie, znaczenia którego w budowie cywilizacji europejskiej nie sposób przecenić. W środku między tymi obszarami była „czarna dziura” zapełniona w IX wieku nazwami wielu plemion (opisanymi w tzw. *Opisie plemion na północ od Dunaju*), których nazwy – oprócz tych rozpoznanych na Śląsku i w ziemi krakowskiej – są w niewielkim stopniu rozszyfrowane, a których lokalizacja też budzi wątpliwości. Może wyjątek stanowiła ziemia krakowska, której dotyczy wzmianka (z *Żywotu świętego Metodego*) o „potężnym księciu siedzącym we Wiślech”. Natomiast co do obszaru późniejszej kolebki

państwa, dorzecza Warty, do niedawna wydawało się, że nie istniała tam zwarta organizacja polityczna. Nowsze badania nieco korygują ten pogląd. Badania nad dziejami osadnictwa (osad otwartych i grodów) wskazują na istnienie silnej władzy wykonawczej zdolnej do przeprowadzania przemieszczeń ludnościowych. Być może, wzmiankowane w tekście *Geografa Bawarskiego* plemię „Glopeanów” (posiadających aż 400 grodów!) dotyczy Polan, nazwa których została przekręcona w tekście źródła. Jednak te spostrzeżenia nie dają odpowiedzi na jedno z ważniejszych pytań dotyczących początków naszego państwa: kiedy powstała wspólnota jego mieszkańców połączona obyczajem, językiem, pamięcią o swych dokonaniach?

Trudno powiedzieć, czy miał rację Henryk Łowmiański, widząc początki kształtowania się wspólnej świadomości Polaków już w czasach pierwszych Piastów. Uczony ten sądził, że walki z najeźdźcami tworzyły wspólną pamięć łączącą poddanych Bolesława Chrobrego w dobie jego wojen z Niemcami. Początki państwa Mieszka pojawiają się w źródłach pisanych w trakcie walk z najeźdźcami Pomorza. Ponadplemienną (zapewne) drużynę Mieszka mogła łączyć pamięć o przewagach i porażkach, formując świadomość przynależności do grona walczących, a więc do aktywnej politycznie grupy społecznej. Teksty z sąsiednich krajów zdają się potwierdzać te mniemania. W *Pouczeniu Włodzimierza Monomacha* występują często określenia „drużyna moja”, „swoją drużynę odebraliśmy” oraz – co jest jeszcze bardziej charaktery-

styczne – liczne zwroty w liczbie mnogiej podkreślające wspólne działania wojów książęcych („poszliśmy”, „chodziliśmy”, „gnaliśmy”). Nie tylko w średniowieczu, lecz także we wszystkich epokach (także dzisiaj) więzi kombatanckie stanowią ważny czynnik w kształtowaniu zbiorowej świadomości społecznej. Wspólnym jej hasłem staje się imię wodza i niejednokrotnie wspólnota polityczna określana była przez osobę władcy. Tak działo się i w X wieku na naszych ziemiach. „Państwo Mieszka”, „państwo Nakona” – tak określano powstałe wspólnoty.

Czy istniała wśród poddanych Mieszka świadomość więzi szerszej, obejmującej wszystkich „ludzi słowa” – Słowian? Zapewne opierała się głównie na możliwości porozumiewania się wspólną lub podobną mową, która w X wieku była jeszcze w niewielkim stopniu zróżnicowana – św. Wojciech mówił dla mieszkańców ówczesnej Polski „dziwnie”, ale zrozumiale. Świadection Nestora pokazuje, że różnice między wschodnimi i zachodnimi Słowianami były znaczne, ale więź językowa nadal istniała. Czy była ona oparta na jakichś wspomnieniach, na tradycji – trudno stwierdzić. Pisarz arabski Al Masudi wspomina także o plemieniu „Waliniana”, z którego miały wywodzić się wszystkie plemiona. Z kolei w wykazie plemion wymienianych przez *Geografa Bawarskiego* mowa jest o „Zerivanach”, z których „pochodzą wszystkie plemiona słowiańskie”. Ibrahim ibn Jakub zaś pisze o plemieniu „Welitab”, które miało pierwotnie łączyć wszystkich Słowian, z jego relacji wiemy także, że kie-

dyś Słowian, „potomków (pochodzą od potomka) Madaja, syna Jafeta [...] zbiera! ich razem (skupiał ich) pewien król, noszący tytuł Maha”. *Powieść lat dawnych* także stwierdza, że „był naród słowiański, z plemienia Jafetowego”. Czy rzeczywiście jest to ślad jakiejś tradycji, czy raczej konstrukcja oparta na schemacie pochodzenia ludów znanym ze Starego Testamentu? W najdawniejszym okresie wspólnota językowa Słowian niewątpliwie stanowiła jedną z podstaw identyfikacji ludzi. Czy nazywali siebie Słowianami, czy po prostu wiedzieli, że istnieją we wspólnocie języka? W tekstach późniejszych jest wiele przykładów potwierdzających więzi ogólnosłowiańskie. Jako wspólnota mniej lub bardziej zwarta Słowianie występują w źródłach rzymskich, greckich, arabskich. Możliwości wzajemnego rozumienia swej mowy, podobne warunki bytu materialnego, podobne obyczaje – wszystkie te czynniki pozwalają przypuszczać, że miało miejsce określanie siebie jako grupy wspólnego słowa. Potwierdzają te sądy liczne nazwy plemion rozsiedlonych we wschodniej Europie – Słoweńców, Słowaków, Słowińców.

Co spowodowało, że właśnie wokół Gniezna, Poznania i Gieczu powstała nowa organizacja społeczna, która miała zawładnąć ziemią dzisiejszej Polski? – to ważne pytanie, na które odpowiedź nie jest łatwa. Nie wydaje się bowiem, by w X wieku tereny Wielkopolski były szczególnie uprzywilejowane. Leżały przecież dalej od ważnych szlaków przebiegających przez Europę wzdłuż Bałtyku czy u podnóża Karpat. Gleby ich były

gorsze niż na Śląsku, w ziemi sandomierskiej czy krakowskiej. Pozornie krajobraz – nasycony jeziorami, podmokłymi terenami, lesisty – był mniej sprzyjający osadnictwu. Być może, rację mają ci badacze, którzy upatrują szansy ziemi Polan właśnie w jej izolacji („bezpiecznej izolacji”) od wydarzeń dziejących się nieopodal: budowy państwa Wielkich Moraw, wypraw wikingów na bogate i bardziej atrakcyjne tereny, ekspansji prowadzonej przez cesarstwo zachodnie. Takie wyjaśnienie genezy państwa polańskiego jest prawdopodobnie w dużej mierze słuszne.

Mieszkańcy ziem nad Wartą spróbowali, skutecznie, zorganizować się, by dotrzeć do bardziej atrakcyjnych obszarów sąsiednich. Dobrze by to świadczyło o ich umiejętnościach dotyczących poszukiwania nowego, o ich otwartości na przyjmowanie korzystniejszych form organizacji społecznych. Nie jest jednak wyczerpujące to wyjaśnienie w świetle wszystkich postawionych pytań, jako że struktury państwowe powstawały w Czechach, na Rusi, także w społeczeństwach znajdujących się bliżej rozwiniętych ośrodków cywilizacyjnych.

Niewątpliwie pomocne w odtwarzaniu więzi wspólnotowych mogą być nazwy własne, nadawane sobie lub nadawane przez innych. Zapewne odmienne były wyróżniki pozwalające wspólnotom ludzkim na nadanie sobie imienia: wspólny obszar (dla ludów osiadłych), wspólny obyczaj, wspólny język i – co stanowi nie mniej ważny czynnik łączący – wspólna pamięć, czyli „wielka siła” twórcza, jak pisał św. Augustyn. Na

pewno powstała ona jako pamięć o państwie po przyjęciu chrztu. Czy istniała przed tym aktem wśród mieszkańców ziem nad Wartą i Odrą? Niemal nic na ten temat nie wiemy. Może powodował ten mankament brak pisma (co jednak nie przeszkadzało w trwaniu „historii opowiadanej” u innych ludów), może decydowały o tym przemiany polityczne, które zapewne szły w kierunku „urzędowego” usuwania wspomnień wspólnot plemiennych i zastępowania ich wiedzą o nowej organizacji społecznej. Jak wynika z różnych źródeł – arabskich, niemieckich – być może, istniała jakaś pamięć o wspólnym pochodzeniu Słowian. W tekstach średniowiecznych istnieją wymowne ślady poczuwania się do wspólnej mowy, pobrzmiewa ślad istnienia tradycji wspólnoty ogólnosłowiańskiej.

Powiązania wewnątrz słowiańskiej strefy językowej prawdopodobnie zależały od wielu czynników. Należy wśród nich wymienić podobny lub odrębny sposób życia i gospodarki – innymi słowy inaczej żyli Słowianie-rolnicy, inaczej zapewne mieszkańcy ziem nadmorskich, inaczej nieco lesistych; należy tu także częstotliwość kontaktów ze światem zewnętrznym.

Dodatkowym kłopotem może być też skomplikowana struktura plemion zamieszkujących ziemie Polski i krajów przyległych. W opinii wielu historyków zamieszkane były one przez różne, zorganizowane piętrowo społeczności: najniższy poziom zajmowały wspólnoty lokalne, może rodowe; wyższy – plemiona małe; wreszcie najwyższy – „plemiona wielkie”. Pomijając już jakąś arbitralność tego schematu, trudno go

dobrze zlokalizować w czasie. Czy wielkie plemiona powstawały z małych (jak można to ukazać na przykładzie Związku Wieleckiego), czy też te „wielkie” rozpadały się na mniejsze? Tradycja, bardzo mętna co prawda i bardzo wątpliwa, mówiąca o „wspólnym plemienu”, którego wywodzą się ludy słowiańskie, ma przecież racjonalne jądro. Można przecież przyjąć istnienie (gdzie i kiedy to już inna sprawa) wspólnoty słowiańskiej sprzed podziałów językowych. W obu przypadkach jednak można zadać sobie pytanie, czy istniała „wielka” czy „mała” świadomość plemienna u Słowian?

Wraz z rozchodzeniem się Słowian powstające podziały na większe i mniejsze plemiona stymulowały różnice w sposobach życia i wpływały na powstawanie nazw grupowych. Wywodziły się one z różnych źródeł: nazwy środowiska naturalnego plemienia (Drewlanie, Lędzianie), nazwy określające zajmowaną ziemię (Wiślanie, Ślężanie), głównego grodu (chyba w nieco późniejszym czasie – Wołynianie), uzależnione były od czasu powstania jednostki plemiennnej. Niekiedy nazwy plemion pochodziły od protoplasty rodu, rzeczywistego lub legendarnego (Dziadoszanie, Czesi), niekiedy plemiona były pogardliwie nazywane przez sąsiadów i pod tym mianem znalazły się w źródłach. [W wykazie nazw plemion zamieszkujących w IX wieku Śląsk niewątpliwie jest to nazwa „Lupiglaa” („Głupie Głowy” – jak próbuje wyjaśnić Jan Tyszkiewicz), przecież sami siebie chyba by tak nie nazywali]. Niektóre nazwy są niejasne i dyskutowane przez historyków („Kujawy”, tak-

że „Mazowsze”). Niekiedy problemy nazw plemiennych, ich przekształceń, zachodzących niewątpliwie zmian, da się także wyjaśnić odmiennością stosowanego określenia bądź własnego, bądź zewnętrznego. Ważniejsze dla poznania grupowej świadomości są oczywiście te pierwsze.

W przypadku Słowian identyfikacja plemienia przez miejsce jego zamieszkania mogła zachodzić po ustabilizowaniu się ich osadnictwa, a więc dopiero w VIII wieku. Wówczas zapewne „ziemia”, obszar charakteryzujący się szczególnymi cechami, zaczęła stanowić podstawowy wyznacznik określający wspólnotę. Pozostał on w praktyce aktualny do dziś.

Wraz z tworzeniem struktur wczesnego państwa, wyłanianiem jego przywódcy pojawiło się określanie wspólnoty imieniem osoby-władcy – szczególnie w przypadku dokonywania opisu stosunków przez obserwatorów zewnętrznych. „Państwa” Mieszka, Nakona, Samona, Boza wyróżniały się w ten sposób w oczach pisarzy „z zewnątrz”. Wydaje się jednak pewne, że tak nazywali je również – chociażby z racji ponoszonych świadczeń – i miejscowi. Czy się z nimi identyfikowali, czy określali się mianem „poddanych Mieszka” czy „poddanych Nakona” – to już sprawa dość wątpliwa, z racji chociażby wielu stosowanych określeń dotyczących nazw nowych państw czy starszych związków plemiennych. Nie podejmując dyskusji na temat początków stosowania nazwy „Polska” – „Polonia” – warto zauważyć, że aż do schyłku X wieku obszar powstałego około 100 lat wcześniej państwa na-

zywany był rozmaicie. Państwo Północy, państwo Mieszka, państwo gnieźnieńskie (*civitas Schinesghe*), być może, jak chce Henryk Łowmiański, „państwo Licikavikóv” – wszystkie te wyrażenia określały organizm polityczny, który dopiero za czasów Bolesława Chrobrego stał się Polską. Stąd też nasuwają się pytania: czy mieszkańcy tego kraju określali się mianem Polaków (może Polan)? Czy nazwa ta, jako imię własne zbiorowości, była używana przez jej członków i czy nie stanowiła tylko prezentacji wąskich elit skupionych wokół księcia? Jeśli tak, a sądząc z sytuacji znanej w następnych stuleciach, to przypuszczenie wydaje się prawdopodobne, to w jaki sposób przedstawiali się pospolici mieszkańcy kraju? Można sądzić, że określali się raczej węższym mianem, może dotyczącym plemienia, może wymieniając swego przodka lub miejscowość, z której się wywodzili.

Nie wiemy jednak, jak na pytanie „kim jesteś?” – w sensie przynależności do wspólnoty – odpowiadałby indagowany podówczas mieszkaniec ziem polskich. Możliwości byłyby zapewne dwie: albo wymieniłby pochodzenie rodowe, podając imię przywódcy, patriarchy, rzeczywistego lub legendarnego przodka, albo określiliby się nazwą terytorium. Niekiedy zapewne ta ostatnia nazwa wiązałaby się z określeniem „tutejsi”, w znaczeniu zamieszkaney, „tutejszej” ziemi. Nie wydaje się, by przy udzielaniu odpowiedzi musiała być podawana nazwa plemienna. Jak zostało wyżej podkreślone, niemal nie miałoby to potwierdzenia w prezentacji człowieka z czasów lepiej potwierdzonych źródło-

wo. W nielicznych wyjątkach, które znamy, dochodziło do zmian w polu znaczeniowym tak określanej grupy. Mazowszanie z X wieku nie byli tożsami terytorialnie z mieszkańcami księstw mazowieckich w późniejszym średniowieczu, Polacy w znaczeniu węższym oznaczali Wielkopolan, szerszym – mieszkańców całego państwa. Warto tu wziąć pod uwagę mieszkańców państwa gnieźnieńskiego. Sprawa jest jednak znacznie bardziej skomplikowana, jeśli brać pod uwagę co najmniej trzy przesłanki: źródłowe nazwy własne potwierdzone toponimami, przekazy źródłowe z okresu późniejszego, z XI–XII wieku, oraz przykłady funkcjonowania nazw plemiennych wśród bliższych i dalszych sąsiadów.

Pierwsza przesłanka, wbrew pozorom, może nie być wystarczająca. Nazwy nadawane były z zewnątrz. Można tu nieco demagogicznie argumentować, że istnienie „Amazonek” czy „Psiogłowców” nie może potwierdzać stosowania tych nazw przez członków tak określanych wspólnot. Jednak interesujące w tym zakresie są wiadomości zawarte w *Powieści minionych lat*, źródle, które wyjątkowo pisane było nie przez „obcych”, lecz przez „swoich”. Oczywiście też trzeba brać pod uwagę dystans czasowy między opisywanymi wydarzeniami i powstaniem tekstu *Powieści...*, niemniej chyba jest to najbardziej wiarygodny w badanym zakresie zbiór informacji. Po wzmiance o rozejściu się ogólnosłowiańskiej wspólnoty, o której wiadomości pochodziły zapewne nie tyle z tradycji, ile z poczucia bliskości językowej, autor kroniki pisze: „rozeszli się [Słowianie – H. S.] po ziemi i przezwali się imionami

swoimi, gdzie siedli na którym miejscu”. Dalej jednak, przy próbie podania przykładów potwierdzających ten sąd, nie wszędzie nazwa własna owych grup rozproszonych Słowian zgadza się z wywodem o jej pochodzeniu od miejsca zamieszkania. Autor pisze co prawda, że „siedli nad rzeką imieniem Morawa i przezwali się Morawianami”, zaraz jednak dodając: „drudzy Czechami nazwali się”. Nazwy dalsze słowiańskich plemion także nie wykazują jednorodnej genezy. Obok nie do końca wyjaśnionych – Chorwatów, Serbów (w których to plemionach Henryk Łowmiański widział nazwy sięgające czasu sprzed rozchodzenia się Słowian po Europie) – występują w źródle liczne inne plemiona, między innymi Lachów, Polan, Drewlan, Dregowiczów i innych. Niektóre z nich są wyjaśnione zgodnie ze wstępnym stwierdzeniem autora tekstu: nazwali się „Drewlanami, dlatego że siedli w lasach”; inni „Połoczanami, od rzeczki, która [...] nazywa się Połota”. Niektóre jednak wskazują na odmienny źródłosłów nazwy plemiennej: „siedli nad Desną i nad Semą, i nad Sułą, i nazwali się Siewierzanami”. Jeśli przyjąć wykładnię, że chodzi tu o mieszkańców północy świata słowiańskiego („Sjevier”), to wnioski płynące z tego założenia raczej prowadziłyby w stronę poglądu, iż była to nazwa dana przez innych, ich sąsiadów z Południa.

W *Powieści minionych lat* przytoczonych jest wiele innych nazw plemion, przede wszystkim wschodniosłowiańskich. Niewątpliwie niektóre z nich stanowią świadome określanie grup ludzkich. Nie zawsze jednak

było to regułą. Być może, rzeczywiście plemiona siedzące nad rzekami nazywane były zgodnie z powszechnie znanym szlakiem wodnym. Wiślanie, Bużanie, Obodryci, wspomniani wyżej Połoczanie stanowili zbiorowości, które były tak nazywane przez sąsiadów i jednocześnie tak się zapewne przedstawiały. Na temat przyjmowania nazwy przez Czechów interesująco pisze Kosmas. Kiedy „szukając miejsc dogodnych na ludzkie osiedla”, wszedł człowiek – „kimkolwiek był” – „założył pierwsze siedziby i zbudował pierwsze domy, i radował się postawionymi na ziemi bożkami, które przyniósł ze sobą na ramionach. Wtedy starszy, któremu inni towarzyszyli jakby panu [...] tak przemówił [...] »[...] zatrzymajcie się, złożcie wdzięczną ofiarę waszym bogom, z których cudowną pomocą przyszedliście wreszcie do tej, niegdyś wam przez los przeznaczonej ojczyzny. [...] pomyślcie, jaka by była stosowna nazwa tej ziemi«, oni [...] odrzekli, jakby pouczeni Boską wyrocznią: »I skąd lepszą lub stosowniejszą nazwę znajdziemy niż – ponieważ Ty, ojcze, nazywasz się Czech – nazwać i ziemię Czechy?«”.

Można byłoby, analizując ten fragment, wyciągnąć parę interesujących wniosków. Pierwszy dotyczyłby zwyczaju czy wiary w określone bóstwa tworzące znak rozpoznawczy wspólnoty ludzkiej, drugi – osoby przywódcy, owego starszego, którego inni traktowali „jak pana”. Wspólnota określana była przez swych członków imieniem czy osobą przywódcy. Trzeci wniosek wiąże się z rolą ziemi-ojczyzny, a więc należnego dziedzictwa. (Podobnie na Węgrzech używa się określenia

o „zajęciu ojczyzny”). Ziemi przeznaczanej przez los dla grupy plemiennej, tej, która się w niej zakorzeniła i która się z nią utożsamiała. Wreszcie – można by doszukiwać się dowodu, że nazwa grupy ludzi była przez nich samych przyjęta (wybrana!) i że pochodziła w tym przypadku od imienia wodza plemiennego.

Wnioski te należy jednak traktować ostrożnie. Zostały one zapisane w parę stuleci po ukształtowaniu się terytorium plemiennego Czechów i – co może jest nawet ważniejszym powodem wątpliwości – zostały sformułowane przez uczonego kanonika, stanowiąc zapewne jego poglądy opierające się bardziej na jego rozumowaniu niż znajomości odległych w czasie wydarzeń. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że, niezależnie od genezy swej nazwy, Czesi przyswoili ją jako określenie swej wspólnoty plemiennnej.

Z tekstu *Powieści...* jednoznacznie wynika, że członkowie różnych plemion „tak się nazwali”, innymi słowy, że nazwa własna była autoprezentacją. Nie ulega wątpliwości, że była dobrze znana przez sąsiadów w czasach budowy organizacji państwowej, także w stosunkach między przywódcami plemion. Wzmianki, że: „Począł Oleg wojować Drewlanów [...]”, „Poszedł Oleg na Siewierzan [...]”, „Posłał Oleg do Radymiczów [...]”, „a z Uliczami i Tywercami miał wojnę”, świadczą o tym, iż w procesie organizacji wczesnego państwa nazwy własne plemion miały znaczenie w zakresie kontaktów politycznych. Pozostaje jednak otwarte zagadnienie, w jakim stopniu tworzenie silnych organizacji wodzowskich miało wpływ na kształtowanie zbior-

rowej tożsamości ludzi zmuszanych do dawania określonej dani lub jednoczących się w oporze przeciwko narzucanym obciążeniom.

IV. BUDOWA PAŃSTWA

W czasie gdy rozproszone organizacje plemienne zastępowane były jednolitą – w miarę – strukturą organizacyjną, konieczne były przebudowa powiązań terytorialnych, utworzenie nowych powiązań administracyjnych. Jak chce *Powieść lat dawnych*, Ruryk „rozdał mężom swoim grody, owemu Połock, owemu Rostow [...] i tymi wszystkimi władał Ruryk”. Nie terytoria plemienne więc były wyznacznikiem nowej organizacji państwowej. Potwierdzają te spostrzeżenia wyniki badań archeologicznych prowadzonych między innymi w Wielkopolsce. Przenoszenie licznych grup ludności z miejsca na miejsce, komasowanie osadnictwa, niszczenie starych i budowa nowych grodów – wszystkie te działania świadczą o istnej rewolucji zachodzącej u początków polskiej państwowości. Państwo stanowiło kosztowną inwestycję. Utrzymanie wzmiankowanych przez Ibrahima „trzech tysięcy pancernych” w państwie Mieszka na pewno stanowiło duże obciążenia dla ludności. Nie wiemy, czy organizacja gospodarcza już wówczas oparta była na systemie grodów, podobnie jak nie znamy wysokości świadczeń ponoszonych przez ludność. Wnioskując z ruskich analogii, być może w obrębie każdego terytorium plemiennego zależnego od księcia istniały (stare lub nowe) ośrodki, w których gromadzone były daniny i które organizowały usługi okolicznych mieszkańców. Na niższych szczeblach władzy zapewne działały wspólnoty lokalne, w naj-

mniejszej mierze wymieniane w czasie nowych porządków.

Co powodowało, że właśnie wokół Gniezna, Poznania i Giecza powstała organizacja społeczna stanowiąca załączek państwa polskiego? Pytanie jest o tyle inspirujące, jako że nie wydaje się, by w X wieku tereny te były szczególnie uprzywilejowane. Leżały przecież daleko od ważnych szlaków przebiegających przez Europę, Bałtykiem lub wzdłuż podnóża Karpat. Gleby ich były gorsze niż na Śląsku, w ziemi sandomierskiej czy krakowskiej. Wydawać by się mogło, że ich krajobraz – lesisty, nasycony jeziorami, podmokłymi terenami – nie sprzyjał nadmiernie rozwojowi osadnictwa. Być może, rację mają ci badacze, którzy upatrują szansy rozwojowej ziemi Polan właśnie w jej izolacji („bezpiecznej izolacji”, zabezpieczającej przed ekspansją z zewnątrz) od wydarzeń dziejących się nieopodal: budowy państwa Wielkich Moraw, wypraw wikingów, najazdów Węgrów, podbojów niemieckich.

Ziemia mieszkańców ziem nad Wartą, wbrew pozorom, także posiadała istotne walory. Zwarte kompleksy lasów nad jeziorami powodowały dużą wilgotność atmosfery, sprzyjającą uprawom. Obfitość drewna zapewniała sprawną budowę grodów, pomieszczeń mieszkalnych, konstrukcji mostów, łodzi, wozów. Las stanowił też obszar dostarczający różnorodnych produktów żywnościowych – mięsa, grzybów, jagód, co było bardzo ważne przy ówczesnym stanie gospodarki rolnej. Była ona bowiem dość prymitywna, oparta na przemiennej uprawie ziemi pozostawianej co drugi rok,

może nawet rzadziej, jako ugór. Czas uprawy pola wynosił zapewne 5–6 lat, pozostawianie go odłogiem trwało 2–3 razy dłużej. Stosowano co prawda gdzieś trójpolówkę, nawet miało miejsce nawożenie ziemi, ulepszano narzędzia (acz na żelazny pług trzeba było jeszcze poczekać), niemniej wydajność płodów rolnych była bardzo niska. Uprawiano żyto, proso, nieco rzadziej pszenicę, owies, jęczmień. Z jednego ziarna zboża uzyskiwano od 1,5 do 3 ziaren. Niezbędne zabezpieczenie części płodów na kolejne zasiewy, niszczenie zasiewów przez najazdy, dzikie zwierzęta, powodzie, susze – wszystkie te czynniki stwarzały potrzebę pozarolniczego uzupełniania gospodarki. Uprawiano więc przy domach jarzyny (groch, bób, rzepę), sadzono drzewa owocowe, stałą i powszechną działalnością były łowiectwo i rybołówstwo. Duże znaczenie miała hodowla ptactwa domowego, bydła, owiec, kóz i nierogacizny (w owym czasie dzikiej, żyjącej w lasach). Ilu ludzi mogło się wyżywić z tej gospodarki, czyli ilu poddanych mógł mieć książę Mieszko? Wobec ówczesnej średniej gęstości zaludnienia nieprzekraczającej zapewne 4 mieszkańców na kilometr kwadratowy można sądzić, że ludność państwa polańskiego w połowie X wieku liczyła około 50-60 tysięcy mieszkańców. Jak się jednak wydaje, zwiększająca się szybko populacja pod koniec tego stulecia mogła się nawet podwoić. Dzień chrztu polańskiego księcia był zapewne pierwotnie dostrzegany tylko przez ludność niezbyt rozległych terytoriów Polski. Zapewne ich jądrem były ziemie położone między górną Notecią i środkową Wartą, obejmują-

ce między innymi Poznań, Gniezno, Giecz, Ostrów Lednicki. Andrzej Buko podkreśla też rolę Kalisza, jak się wydaje, jednego z niewielu grodów nieprzebudowywanych w czasach pierwszych Piastów. Odkrycie przez archeologów śladów budowli sakralnych – między innymi w Poznaniu, być może w Ostrowie Lednickim – potwierdza pogląd o podjęciu działań chrystianizacji w pierwszym rządzie na tych właśnie obszarach. (Istnieją przypuszczenia, że z misy znalezionej w Poznaniu czerpano wodę do chrztu księcia Mieszka). Pierwotnie, jak dowodzi Zofia Kurnatowska, obszar władania Piastów był bardzo niewielki, być może nie przekraczał 10 tysięcy km². Jeśli jednak przyjąć hipotezę, że wzmiankowani w źródle z IX wieku (w tzw. *Geografie Bawarskim*) „Glopeani” oznaczają Polan, to biorąc pod uwagę, że mieli posiadać „400 grodów albo i więcej”, wydaje się, że już dwa pokolenia przed Mieszkiem kolebka naszej państwowości musiała być przynajmniej trzy-, czterokrotnie rozleglejsza i obejmować także Kujawy, południową Wielkopolskę z Kaliszem, może także ziemię łęczycką. Późniejszy o półtora wieku nasz kronikarz – Gall Anonim – zapewne na podstawie zachowanej tradycji, opisując czyny Bolesława Chrobrego, stwierdza: „Z Poznania bowiem [miał] 1300 pancernych i 4000 tarczowników, z Gniezna 1500 pancernych i 5000 tarczowników, z grodu Władysława [utożsamianego z Włocławkiem, acz budzi to przypuszczenie niejakie wątpliwości – H. S.] 800 pancernych i 2000 tarczowników, z Giecza 300 pancernych i 2000 tarczowników”. Ta wzmianka przynosi trzy istotne in-

formacje, być może, dotyczące czasów jeszcze mieszkowych. Określa lokalizację „państwa gnieźnieńskiego”, wraz z jego wewnętrzną organizacją terytorialną, podaje liczebność drużyny pierwszych Piastów (niecałe 4 tysiące „pancernych”; Ibrahīm ibn Jakub, jak była o tym mowa, pisze o jego 3-tysięcznej drużynie) i wreszcie – pozwala na bardzo ostrożne sformułowanie przypuszczeń dotyczących zaludnienia państwa. Jeśli przyjąć propozycję między innymi Henryka Łowmiańskiego, na leżałoby założyć, że „pospolite ruszenie”, a więc chyba owi „tarczownicy”, stanowiło około 6 procent całej populacji. Tym samym państwo Piastów zwiększone w ciągu drugiej połowy X wieku ponaddwukrotnie musiało liczyć około 200 tysięcy mieszkańców. Już w czasach Mieszka (może nawet wcześniej) obejmowało ono ziemie sąsiednich plemion. Możemy się o tym przekonać, analizując bądź źródła pisane, bądź archeologiczne. Te drugie zdają się wskazywać, że władztwo Mieszka sięgało na wschód do Sandomierza, na zachód poza Odrę wraz z ziemią lubuską i obejmowało przynajmniej część Mazowsza. Źródła pisane natomiast udzielają wielu dalszych informacji. Dzięki nim poznajemy państwo Mieszka podczas walk z plemionami zachodnich Słowian. Klęski naszego władcy na 3 lata przed chrztem poniesione w walkach zapewne z Wolinianami (prowadzonymi pod wodzą niemieckiego awanturnika Wichmana około 963 roku), sukcesy w wojnie prowadzonej w 968 roku z tymi samymi przeciwnikami pozwalają na wysunięcie przypuszczenia dotyczącego źródeł tych konfliktów. Za-

pewne księciu pogańskiemu chodziło o dotarcie do złotodajnej drogi handlowej wzdłuż Bałtyku umożliwiającej udział w atrakcyjnej wymianie międzynarodowej. Zapewne Mieszko dobijał się do portów bałtyckich, powodując reakcje ze strony ich mieszkańców. Już wówczas jednak gromadził w swym ręku różne bogactwa. Kronikarz Widukind, opisując pierwsze najazdy Wichmana, stwierdza, że ten ostatni nie tylko zabił brata Mieszka, lecz także „łupy wielkie mu zabrał”.

Już po akcie chrztu, wzmocniony przymierzem z Czechami, Mieszko tak dalece skutecznie odparł kolejny najazd Wichmana, że kolejna zwycięska bitwa rozegrana w 972 roku, tym razem z niemieckim margrabią Hodonem, pod Cedynią (tak na ogół lokalizowana jest przez historyków), jak się wydaje, broniła stanu posiadania księcia polskiego. Niezbyt jasny tekst kroniki Thietmara pozwala przypuszczać – zgodnie z poglądem Henryka Łowmiańskiego – że we władaniu Mieszka znajdowało się już Pomorze lub przynajmniej jego znacząca część („aż po rzekę Wartę”).

Pogląd ten potwierdzony jest przez najstarszy opis granic Polski zawarty w streszczeniu cytowanego już dokumentu *Dagome Iudex*. Określa on granice państwa (nazywanego gnieźnieńskim – *civitas Schinesghe*), wymieniając ziemie i wody leżące poza jego obszarem: morze, ziemie Prusów, Ruś, ziemię krakowską, zapewne Morawy, ziemię Milczan. W czasach chrztu pierwsze państwo polskie uzyskało już swe północne krańce. Przed śmiercią Mieszko oparł również granice swych posiadłości na południu, po opanowaniu Śląska, być

może także Krakowa. Stabilizacja państwa uzyskana chrztem, „pierwszym wejściem do Europy” jako wspólnoty chrześcijańskiej, pozwoliła księciu polańskiemu przez następne niemal 30 lat panowania podwoić obszar swych posiadłości.

Nie były to za jego panowania terytoria o jednolitym statusie prawnym. Wydaje się, że można dostrzeżać różnice między rdzeniem państwa ziem wokół Gniezna i Poznania (*civitas gnesnensis*) i „przyległościami” (*pertinentes*), najpewniej obszarami kolejno poddawanymi pod władzę księcia Polan. Sądząc z analogii znanych na Rusi, ta władza ograniczała się zapewne do pobierania „dani”, podatków w naturaliach, może wykorzystywania mieszkańców do różnych posług. Nie musiał ten system zakładać okupacji uzależnionych terenów przez książęcą drużynę. Wielu badaczy, jak ostatnio Karol Modzelewski, słusznie zwracało uwagę, że tworząc ówczesne formy zależności, książę, wódz drużyny, wykorzystywał poprzednio istniejące struktury władzy w celu sprawnego ściągania danin. System ten w warunkach X wieku nie mógłby funkcjonować bez utrzymania starych form organizacji społecznej. Na szczeblu plemion – jak wynika z *Powieści lat dawnych* – zapadały decyzje dotyczące podporządkowania się woli księcia lub o sprzecznie. Starszyzna plemienna ponosiła konsekwencje, niekiedy bardzo surowe, gdy nie wyrażała zgody na składanie świadczeń. Znane są przecież przypadki wytracenia całych grup ludzi odpowiedzialnych, zdaniem księcia, za odmowę. Władza plemienna w takich „przyległościach” zapewne

funkcjonowała dalej, ale ulegała redukcji, przestawała być suwerenna w sprawach dotyczących prowadzenia wojen i dysponowania własnym skarbem. Warto dodać, że mniejszym ograniczeniom ulegały kompetencje lokalnych struktur społecznych. Trwały one dalej na szczeblu wsi, opola – wspólnoty sąsiedzkiej – niewątpliwie rodziny (chyba wielkiej, przynajmniej trzypokoleniowej i wspartej licznymi powinowatymi). Ich zakres władzy był również mniejszy, ale bez ich działań na szczeblu lokalnym sprawne ściąganie danin byłoby bardzo trudne.

Przy omawianiu procesu tworzenia nowych wspólnot powstających w ramach nowych organizacji społecznych warto raz jeszcze wrócić do *Powieści minionych lat*. Przy fragmencie o powstawaniu władztwa w Kijowie źródło stwierdza: „Byli trzej bracia, Kij, Szczek i Choryw, którzy zbudowali gródek ten i pomarli, a my, ród ich, siedzimy tu płacąc dań Chazarom”. Jak wiadomo, panami Kijowa zostali Waregowie, Askold i Dir, „bojarowie” Ruryka, którzy „uprosili go [by ich puścił] do Carogrodu z rodem swoim. I poszli Dnieprem, i przechodząc mimo ujrzeli na górze gródek. [...] zostali w grodzie tym, i zgromadzili mnóstwo Waregów i poczęli władać ziemią polską” (czyli zapewne Polan naddnieprzańskich, acz pojawiają się wątpliwości co do wyjaśnienia tej nazwy). Innymi słowy, można sądzić, że tworzenie nowej organizacji wiązało się – przynajmniej w wielu przypadkach – z dwoma procesami: podbojem i powstawaniem nowej elity władzy.

Wokół tego problemu rozwinęła się dyskusja, która dotyczy genezy przekształceń społecznych Słowiańszczyzny (i nie tylko) w czasie budowy państwowości. Sprowadza się ona do sporu, czy budową państw zainteresowani byli „starsi plemienni”, czy też główną siłą sprawczą byli „ludzie nowi”. Wszelkie uogólnianie wydaje się – jak zawsze – niezbyt uprawnione, ale można przyjąć następujący tok rozumowania. Budowa organizacji państwowej wiązała się z dwoma zasadniczymi zmianami zachodzącymi w dotychczasowym życiu plemion. Zdecydowanie wzrastała siła wykonawcza nowej organizacji społecznej (czego najlepszym świadectwem jest istnienie drużyn, zbrojnego ramienia władcy) oraz zasadniczym zmianom ulegał podział dochodu społecznego. Nie wiemy, jak dzielone były zyski uzyskiwane z plemiennych wypraw wojennych, ale nie ulega wątpliwości, że głównym dysponentem w nowym porządku był wódz drużyny, książę. Jego władza musiała mieć zaplecze społeczne, jako że żaden system polityczny nie może się bez takowego utrzymywać. Nie ulega też wątpliwości, że nowe porządki, o czym świadczą obficie dzieje budowy państwa ruskiego, nie mogły odpowiadać ani starszyźnie plemion podbijanych czy też uzależnianych, ani wszystkim przedstawicielom dotychczasowych elit władzy. Co więcej, zapewne nie zawsze odpowiadały takowym na niższych – rodowych, terytorialnych – szczeblach organizacji społecznej. W budowie nowych porządków przede wszystkim zainteresowani byli ci, którym za ciasno było w starszych strukturach. Wywodzili się oni z ludzi źle wi-

dzianych czy niechcianych we własnym kraju, niezadowolonych ze swej sytuacji osobistej czy materialnej, a także z tych, którzy w nowym systemie upatrywali dla siebie korzyści. Wynika z tego założenie, że czynnikami sprawczymi przekształceń byli ludzie nowi, wsparci – co jest oczywiste w każdej rewolucji społecznej – przez część starych elit skupionych wokół władcy. Przypuszczenie to potwierdza określanie ludzi, na których wspierał się Włodzimierz Wielki. Byli wśród nich i drużynnicy, i „starcy”, zapewne wywodzący się z możliwych rodów należących do plemienia, wokół którego budowana była nowa organizacja państwowa.

Powstanie sprawnego instrumentu władzy, jakim stała się książęca drużyna, zmieniło – po pierwsze – procesy decyzyjne, po drugie – dystrybucję dóbr uzyskiwanych od ludności czy zdobywanych w wyprawach wojennych. Zbrojne oddziały owych „pancernych” stanowiły organizację na pewno sprawniejszą od plemiennego „pospolitego ruszenia”, co więcej zaś – miały na celu zapewnianie dochodów z wypraw wojennych. Przekładając tę sytuację na język współczesny, drużyna miała być „samofinansującą się inwestycją”. Ale aby mogła ona działać sprawnie, musiała być utrzymywana przez ogół ludności. Czy drużynnicy posiadali swoje gospodarstwa? – nie wiemy, ale na pewno korzystali z dobrodziejstw skarbu książęcego. Ten zaś zdobywany był poprzez uzyskiwane świadczenia poddanych i łupy. Można przyjąć, że w zasadzie wszystkie te dochody nie były dzielone, lecz stanowiły własność księcia-wodza.

On dopiero powinien był „szczodrze” rozdzielać uzyskane dobra. W jednym ręku została skupiona władza – wbrew poprzednim zwyczajom – nie tylko wykonawcza, lecz także ustawodawcza i sądownicza (przynajmniej na szczeblu najwyższym). Dawało to szczególne prerogatywy księciu w kraju. Natomiast jego chrzest przynosił mu wielorakie korzyści w polityce zagranicznej: wprowadzał go do elitarnego grona władców, wywyższał poprzez sakralny charakter ceremonii, zapewniał poparcie najpotężniejszych instytucji: Kościoła i – przynajmniej po części – cesarstwa.

V. WSPÓLNOTA CHRZEŚCIJAŃSKIEJ EUROPY

Co zmieniało w życiu kraju przyjęcie chrześcijaństwa? Odpowiedź na pewno musi być złożona. Najpewniej podstawowym bodźcem wiodącym do wprowadzania nowej religii były dążenia książąt i wodzów plemiennych do pozyskania wyższego statusu w gronie władców liczących się państw ówczesnej Europy. Chrzt Mieszka ułatwił mu nawiązanie sojuszu z Bolesławem czeskim, utrzymywanie dobrych stosunków z cesarzem. Określany był on przez kronikarzy jako „władca wierny cesarzowi”, a więc włączony do wspólnoty odnowionej jedności świata zachodniego, także jako jego „przyjaciel”. Nie chodziło tu o kontakty osobiste, lecz o podkreślenie faktu, że polański książę należał do elit ówczesnej chrześcijańskiej Europy.

Chrzt dawał uprawnienia do sprawowania uzyskanej władzy, potwierdzał niejako szczególną pozycję społeczną księcia. Przyjęcie nowej religii przez władcę kraju stanowiło akt polityczny. Umożliwiało, a na pewno ułatwiało nawiązywanie w kręgu chrześcijańskiej Europy niezbędnych kontaktów dyplomatycznych, zawieranie układów i sojuszy. Te bowiem potwierdzone były, jak dobrze opisuje *to Powieść minionych lat*, przez odwoływanie się do praw boskich, do autorytetu religii. Rzecz oczywista, że układy między władcami, konieczne w dobie nasilania się kontaktów politycznych, zyskiwały na znaczeniu, jeśli umacniała je wspólna wiara. Zapewne też istniała w chrześcijańskiej

Europie hierarchia państw. Gerard Labuda rozróżnia cztery szczeble znaczenia tytułów władców świeckich. Oczywiście pierwsze miejsce zarezerwowane było dla cesarza, ściślej rzecz ujmując, od początku trzeciej tercjii X wieku (czyli od koronacji Ottona I) dwóch cesarzy: wschodniego i zachodniego cesarstwa rzymskiego. Poniżej znajdowały się królestwa, państwa, na czele których stali władcy obdarzeni sakrą, tacy jak królowie Francji. Na kolejnym szczeblu znajdowały się władztwa terytorialne, wśród nich księstwo Mieszka. Jeszcze niżej miały znajdować się te, które winne były płacić trybut cesarzowi: Czechy, Bawaria, Szwabia. Co prawda, Mieszko też płacił, ale tylko z ziem „aż po rzekę Wartę”, reszta jego księstwa nie stanowiła obszaru trybutarnego. Należałoby jeszcze dodać do szczebli tej hierarchii liczne organizacje społeczne, które znajdowały się poza światem chrześcijańskim, mniej lub bardziej zjednoczone plemiona zachodnich Słowian (Wieletów, Obodrytów), Bałtów (Prusów, Litwinów, Łotyszy, Liwów), Ugrofinów. Czy hierarchia ta była zawsze przestrzegana przez poszczególnych władców, czy rzeczywiście tak widzieli swoje miejsca w elitach władzy – trudno powiedzieć. Zapewne jednak tak, o czym może świadczyć zachowanie Mieszka I, który – według Thietmara – „nie odważał się wchodzić w kozuch” do komnaty margrabiego Gerona. Jeśli przyjąć koncepcję istnienia tej hierarchii władców, to chrzest Mieszka prowadził do awansu jego pozycji w świecie chrześcijańskim przynajmniej o jedno miejsce.

Wejście do grona wyznawców wspólnej wiary dawało także wiele innych korzyści. Ułatwiała ona kontakty między władcami, wprowadzając wspólny język. Nie chodziło tu – czy przynajmniej nie przede wszystkim – o łacinę czy grekę jako ówczesne języki uniwersalne, lecz o przyjęcie wspólnego systemu powszednie zrozumiałych znaków: gestów, sposobów zachowania, formułowania przysiąg. Kościół stanowił instytucję regulującą ten system zachowań, zapewniającą także, przynajmniej w teorii, ich wiarygodność. Zawierane przymierza, potwierdzane często małżeństwami między rodami panującymi, uzyskiwały także umocowanie kościelne. Umocowania te były tym silniejsze, że potwierdzane pismem przez duchownych biegłych w sztuce pisanania.

Chrzest księcia zmieniał kształt państwa, wzmacniał jego spójność, tworząc nowe, szersze niż poprzednio, powiązania międzyludzkie. Nie tylko ze względu na przyjęcie wiary wspólnej dla wszystkich mieszkańców księstwa. Konsekwencją bowiem przyjęcia chrześcijaństwa było podjęcie działań wprowadzających istotne zmiany w organizacji terytorialnej państwa. Jak trafnie stwierdzali różni historycy (Zofia Kurnatowska, Roman Michałowski), budowę państwa należy rozpatrywać między innymi w aspekcie przekształceń struktur osadniczych, administracyjnych i tworzenia nowej sieci ośrodków władzy. W Wielkopolsce miały miejsce jednoczesne budowa nowych grodów i niszczenie gwałtowne lub stopniowe dawnych struktur osadniczych. Badania Stanisława Kurnatowskiego pokazały

też, jak w tym czasie – z dużym prawdopodobieństwem w X wieku – odbywały się „przenosiny” osadników z obszarów dawnych, zapewne ugrupowań plemiennych skupionych wokół licznych małych grodów, na ziemi wokół Gniezna. Niewątpliwie ułatwiać miała ta akcja działanie i dworu (dworów) książęcego, i środowisk kościelnych, biskupich, zakonnych. Można sądzić, że misjonarze wysyłani byli do głównych grodów, by z pomocą miejscowych władz lub przedstawicieli księcia prowadzić katechizację i zaprowadzać nowe porządki. Ważnym bowiem celem władzy było zainteresowanie wieloplemiennego społeczeństwa powstającą organizacją kościelną. Po pierwsze, integrowała ona mieszkańców już nie plemion, lecz całego kraju, po drugie – odgrywała rolę znaczącą, rosnącą, wpływając na powstawanie nowych powiązań, nowych zależności, nawet nowego układu sieci drożnej. Jeśli – o czym wiemy, co prawda, z czasów o 100 lat późniejszych – zgromadzeniom zakonnym zapewniano dobra materialne i usługi z odległych niekiedy terenów, to zyskiwać musiały na znaczeniu kontakty zapewne poprzednio rzadziej nawiązywane. Do klasztoru w Mogilnie miały być dostarczane świadczenia z mazowieckich, odległych okręgów grodowych leżących poza Wisłą, niekiedy aż przy granicy ziemi Prusów. Jeszcze późniejszy dokument, pochodząca z pierwszej połowy XII wieku tzw. *Bulla gnieźnieńska*, dotyczy potwierdzenia uposażeń arcybiskupstwa. Powołuje się, przynajmniej w części, na dobra posiadane już przez biskupa Ungera, następcę Jordana jeszcze w czasach mieszkowych.

Świadczenia na rzecz gnieźnieńskiego metropolity ściągane były z różnych ziem – Mazowsza, ziemi łęczyckiej i rozległych włości kościelnych wokół Łowicza. Niezależnie od tego, czy różnorakie dobra przywożone były do Gniezna, czy metropolita wraz ze swym otoczeniem udawał się do swych posiadłości, w obu przypadkach powstawały nowe powiązania obejmujące także podróże ludności służebnej.

Przemiany przestrzenne wynikały z dwojakich potrzeb: lepszych możliwości kontroli i niewątpliwie z korzystniejszych możliwości gospodarczych. Antoni Gąsiorowski wprowadził określenie *rex ambulans* – król jeżdżący. Na pewno można je odnieść także do czasów wcześniejszych, kiedy władca – książę – wraz ze swym orszakiem, z oddziałami zbrojnymi przemieszczał się z grodu do grodu (może z włości do włości), wykorzystując kolejno zgromadzone zapasy żywności. W interesie księcia leżało więc skupienie osadników na obszarach leżących wokół jego grodów.

Czy dla większości ówczesnych ludzi przyjęcie chrześcijaństwa było przełomem w sposobie życia? Nie wydaje się, by nasi przodkowie sprzed tysiąca lat byli nadmiernie biegli w kwestiach dotyczących prawd wiary. Chrzest był aktem wprowadzającym jedynie najbardziej zewnętrzne formy obrzędowości, w dodatku na ogół nakładające się na stare zwyczaje praktykowane od wieków. Być może, chrześcijaństwo wpływało na łagodzenie obyczajów. Nie można jednak tego wpływu przeceniać. Nadal mimo napomnień św. Wojciecha trwał proceder handlu ludźmi. Troską apostoła było

ograniczenie go do pogan. Kary za przewinienia nie uległy zmianie, zadawanie śmierci było równie częste jak w czasach pogańskich. Co więcej – wzrastała liczba przewinień, dochodziły bowiem do dotychczasowej ich listy wykroczenia przeciwko prawom kościelnym, przede wszystkim wielożeństwo, nieprzestrzeganie postów, praca w dni świąteczne.

Czy mniej było okrucieństwa podczas łupieżczych wypraw, mniej zniszczeń czynionych dla czystej przyjemności? W tej kwestii warto być ostrożnym. Najazdy Brzetysława czeskiego na Polskę, Mieszka II na Saksonię, Włodzimierza na nieposłuszne mu plemiona nie noszą znamion wyróżniających te wydarzenia humanitaryzmem. Zdobywcy – by przypomnieć tylko działania Bolesława Chrobrego w Kijowie – rabowali i gwałcili nie mniej niż w czasach pogańskich. Bujny temperament Piastów, Przemyślidów, Arpadów, Rurykowiczów doprowadzał stale i na ogół bez konsekwencji karnych do popełniania wszystkich grzechów głównych. Jeśli człowiek rzeczywiście kreuje swego Boga na własny obraz i podobieństwo, to relacje dotyczące mitologii germańskiej ukazują dość jednostronny obraz społeczeństwa. Walka, pijaństwo, stosunki seksualne, grabieże połączone z samochwalstwem, pychą, zarozumiałstwem określały normalny – jak się wydaje – stan obyczajowości.

Bardzo wcześnie, już zapewne za czasów Mieszka (dzięki temu archeolodzy mogą dziś badać miejsca pochówków), nastąpiły zmiany w obrzędach pogrzebowych. Kościół zwalczał kremację i nakazywał pochó-

wiek ciała na ziemi poświęconej, jeśli było to możliwe przy kościele lub – dla ważniejszych osób – w samym budynku. Trudno powiedzieć, jak skuteczne były naka-zy dotyczące sposobu układania zmarłych i zakazy wy-posażenia miejsc pochówków w przedmioty potrzebne w zaświatach. W ograniczonym wymiarze przydawanie zmarłemu różnych rzeczy ma miejsce jeszcze i dzisiaj. W zasięgu wpływów Kościoła także już wcześniej za-niechano unieszkodliwiania nieboszczyków, by nie wy-chodzili z grobów jako „żywi zmarli” lub nie stawali się wampirami wysysającymi krew ludzką. Zamiast przebijania piersi nieboszczyka kołkiem osikowym za-częto go skrapiać święconą wodą i odmawiać stosowne modlitwy. Można jednak sądzić, że te zmiany następo-wały stopniowo i przez długi czas oba obrzędy, chrze-ścijański i pogański, egzystowały obok siebie.

Mimo wszystko można domniemywać, że zmiany w widzeniu świata mogły mieć miejsce już w czasach Mieszka. Chrześcijaństwo wprowadziło rozróżnienie między pojęciami obiektywnego dobra i zła. Czyny ludzkie oceniane były przez Kościół nie z punktu wi-dzenia interesów jednostki, lecz na podstawie nowego systemu wartości. Działania władców i poddanych były oceniane (co prawda, przez bardzo nieliczną grupę du-chownych, ludzi pióra) w kategoriach moralnych, two-rząc podstawę kodeksu etycznego postulowanego i dziś.

Wydaje się, że wpływ Kościoła był widoczny w postrzeganiu czasu. Oczywiście, najpewniej można sądzić, że nadal podstawą określającą upływ czasu były

sezonowe zmiany w przyrodzie, decydujące o podejmowaniu różnej działalności zawodowej rolników, pasterzy, myśliwych. Jednak szybko, chyba już w X wieku, dokonywały się zmiany zachodzące niejako na dwóch poziomach. W coraz liczniejszych środowiskach kościelnych rytm życia w ciągu roku podlegał obchodom roku kalendarza liturgicznego, zapewne nieodbiegającym zbyt od cyklu świąt przedchrześcijańskich, ale były one częstsze, inaczej nazywane, wymagające przynajmniej podstawowej wiedzy o ich genezie. Przede wszystkim miało to miejsce na dworach, gdzie księżcy neofici szczególnie gorliwie brali udział w obchodach świąt kościelnych. Nie wiemy, czy nowi chrześcijanie wiedzieli, że ich decyzja przypadała na rok określony kolejnym numerem liczonym od narodzenia Chrystusa. Być może, przyszło im to do głowy dopiero na przełomie tysiącleci wraz z napływem duchownych z Zachodu czy ze Wschodu. Ale bardzo szybko władcy zaczęli liczyć lata (wiosny?) własnego panowania wspartego autorytetem nowej religii. Tradycja rodowa była pomocna w ustalaniu listy przodków, fikcyjnych lub rzeczywistych, zasiadających na tronie państwa. Przeszłość dotychczas będąca nieuporządkowanym chronologicznie zbiorem obrazów zaczęła zmieniać się w ciąg wydarzeń. Niekiedy dotyczyły one dłuższego trwania – od narodzin Chrystusa, czy też jak w Bizancjum – „od początku świata”, niekiedy krótszego – wyznaczonego przez okresy panowania władców.

Czy rachuby czasu linearnego przyjmowane były przez ogół mieszkańców krajów Nowej Europy? –

można wątpić. Natomiast bardzo szybko, zapewne w ciągu dwóch, najdalej trzech pokoleń, przyjęty został nowy, chrześcijański sposób określania dni tygodnia. Oczywiście, kalendarz opierający się na siedmiodniowym cyklu Księżyca znany był już wcześniej. U Germanów pozostały nazwy pochodzące od imion bóstw panteonu germańskiego, natomiast u Słowian określenia dni zostały oparte na rachubie chrześcijańskiej, stosującej kolejne, numerowane nazwy siedmiodniowego tygodnia. Jedną z najbardziej powszechnych instytucji gospodarczych (i kulturalnych, obejmująca wszystkie warstwy społeczne), czyli targi, już w XI wieku wyznaczana była w dniach określanych nazwą chrześcijańską, odpowiadającą kolejnym dniom stworzenia świata. Jeśli wiadomo było wszystkim, że w piątek (w piątym dniu po Dniu Pańskim – niedzieli) można się spotkać w znanym ludziom miejscu, po to by coś kupić lub sprzedać, to wiedza o nowych nazwach dni tygodnia musiała bardzo wcześnie stać się powszechna.

Czy i jakie są znane inne ślady wprowadzania obyczaju chrześcijańskiego? Tam, gdzie bezpośrednio sięgała władza księcia lub biskupa, zapewne dość wcześnie próbowano przestrzegać postów. Najstarsza znana z ziem polskich taryfa celna na szlaku dalekiego handlu – tzw. taryfa pomnichowska (zapewne pochodząca z okresu XI–XII wieku) – wymienia między innymi śledzie, jeden z głównych produktów spożywanych w okresie postów. Gall Anonim podał w tymże czasie, że rycerstwo Bolesława Krzywoustego miało śpiewać, że „naszym przodkom wystarczały ryby słone [...]”, za-

tem, być może, gromadzone na czas postu. (Nie można oczywiście wykluczyć, że jest to tylko poetycka wstawka, propagująca podboje Krzywoustego).

Chyba zmieniała się także wizja przestrzeni, nie tylko wyznaczanej przez granice prowincji i diecezji, opisywanej przez Stary i Nowy Testament. Zmieniono i przede wszystkim rozbudowano obraz zaświatów, wprowadzając doń raj i piekło. Oba te pojęcia, jeśli brać pod uwagę popularność motywu ikonograficznego Sądu Ostatecznego, musiały być wcześniej wprowadzone do świadomości nowo chrzczonych ludów. Strach przed karą na Sądzie Bożym więc, jak się wydaje, był jednym z głównych argumentów nakłaniających do przestrzegania nowych zakazów i nakazów. Wizja raju i piekła, być może, nawiązywała do starszych poglądów, być może lepiej określała poprzednie wierzenia, na pewno zaś porządkowała powszechne przekonania o obrazie wszechświata. Czy w X wieku także poza środowiskami dworskimi? – nie wiemy, ale wydaje się, że wiara w raj, piekło, Sąd Boży pojawiła się dość wcześnie.

Niestety stan źródeł nie pozwala na wnioskowanie o wpływie chrystianizacji na zmiany w codziennej działalności gospodarczej czy w obyczajowości. Wydaje się oczywiste, że w X wieku dominował dotychczasowy system zachowań, że stare normy prawa zwyczajowego regulowały życie i obyczaje ludzi. Zmiany niesione przez chrześcijaństwo mogły być wprowadzane stopniowo i powoli, już chociażby z racji małej liczby księży działających w Nowej Europie. Niemniej przy-

najmniej w otoczeniu władców niektóre stare obyczaje ulegały przekształceniom; wielożeństwo było w czasach pogańskich zjawiskiem jeśli nie powszechnym, to częstym i dopuszczanym, nieformalne związki istniały oczywiście dalej w stosunkach międzyludzkich, ale w krajach nowego chrześcijaństwa nie akceptowano publicznie poligamii. Wielożeństwo – przynajmniej wśród książąt i możnych – być może stanowiło poprzednio wyróżnik warstw wyższych. Jednak rola nowej religii w zmianie tego obyczaju prawnego zaznaczyła się bardzo szybko.

Język katechezy także tworzył nowe powiązania wykraczające poza dotychczasowe kontakty międzyludzkie. Modlitwy i śpiewy (te drugie może dopiero w XI wieku?) zaczęły stanowić coraz szerzej znany sposób zachowań – wspólny w diecezji, w państwie, podobny do istniejących w krajach sąsiednich. Zapewne różnił się on nieco od występującego na zachodzie czy południu Europy, ale warto podkreślić, że był on tworzony przez misjonarzy obeznanych z obyczajem kręgów greckiego i łacińskiego. Tym samym rozpoczął się proces ujednolicania wspólnych gestów, brzmienia modlitw, sposobu zachowań w kościele. Młodsza Europa zaczęła dołączać w systemie kontaktów międzyludzkich do kręgów cywilizacji śródziemnomorskiej.

Pisząc o wprowadzaniu chrześcijaństwa, nie sposób pominąć jego znaczenia w tworzeniu propagandy nowego porządku, także politycznego. Nowe państwo wykorzystywało rozległą sferę *sacrum* dla wzmacniania wprowadzanego systemu władzy. Aleksander

Gieysztor dobrze to ukazał, analizując treści ikonograficzne Drzwi Gnieźnieńskich z XII wieku. Chwalebne dzieje świętego ukazane zostały na tle postaci władców świata doczesnego. Cesarz w pełnym majestacie, eksponowana sylwetka Bolesława Chrobrego ukazywały więź łączącą *sacrum* i *profanum*, zapewniającą porządek polityczny, ale zdaje się nie ulegać wątpliwości, że przenoszone wzorce architektury zachodniej musiały stanowić dobitny przekaz świadczący o sile nowego ustroju.

Budowanie nowego ustroju szło w parze z odsiewaniem z kręgu władzy ludzi ze starych elit plemiennych, przy jednoczesnym dawaniu szansy nowej ekipie bardziej zależnej od nowego władcy niż od starych układów rodowych. Jeśli chrzest stanowił jednocześnie znak nowego porządku, nowego sposobu działania, nowej, lepszej organizacji społecznej, to tym samym nobilitował te przekształcenia, w wyniku których władza przechodziła z rąk starszych na wiecu w ręce chrześcijańskiego księcia. Stanisław Piekarczyk słusznie zapewne sądził, że „nowa religia [...] w znacznie większym stopniu niż dawna ujawniała swoją przydatność przy propagowaniu wzorca wierności [...] [który] odgrywał doniosłą rolę w warunkach rozwoju stosunków lennych”. Dodać tylko należy, że przy istnieniu silnej władzy jednostki bliskość osoby księcia, częste możliwości kontaktów z nim zapewniały owym „wiernym” pożądane miejsce w hierarchii zarządzania i dostęp do bogactwa.

Nie ulega wątpliwości, że w interesie władcy państwa leżało tworzenie granic administracyjnych przebiegających niezależnie (lub nie zawsze zależnie) od dotychczasowych plemiennych podziałów politycznych. Jak się obecnie wydaje, dobrym przykładem takich działań była kariera grodu sandomierskiego powstałego na pograniczu starszych terytoriów plemiennych, a wprędce, najpóźniej w drugiej połowie XI wieku, awansującego do miana jednej z „głównych stolic Królestwa”. Biorąc pod uwagę, że podziały terytorialne określały – chyba przede wszystkim – obszary eksploatacji dóbr i świadczeń ściąganych od ludności, jest dość oczywiste, że tworzyły także nowe powiązania komunikacyjne. Określały także, odmienne od dotychczasowych, rozwiązania dotyczące obowiązków ludności w kwestii dostarczania danin i wykonywania posług dla dworu książęcego, a więc w konsekwencji kreowały nowe więzi społeczne.

Roman Michałowski słusznie podkreślił w swych rozważaniach wielką rolę organizacji kościelnej w tych procesach. Utworzenie jej struktur terytorialnych – diecezjalnych, własnościowych – niejednokrotnie w poprzek dotychczasowych granic plemiennych w ramach jednolitego państwa wpływało na kształt świadomości mieszkańców. Przede wszystkim zapewne elit społecznych, ale także tych wszystkich, którzy zobowiązani byli do najróżniejszych świadczeń i danin. W oczywisty sposób poczucie jedności państwa wzmocnione było przynależnością do prowincji kościelnej, pozwalającej na lepsze kontakty z dworami zagranicznymi. Nie bez

przyczyny nowo powstałe państwo już w czasach Mieszka I bywa określane jako *civitas gnesnensis*.

Czy zachodzące przemiany, wynikające z prób adaptowania starego systemu do stosunków panujących w schryistianizowanej części Europy, miały wpływ na powstawanie wspólnej pamięci zbiorowej, jednego z najważniejszych czynników kształtujących wspólnotę państwową? Czy pamięć o jej początkach stała się kolejnym czynnikiem integrującym społeczeństwo? Byłby to wniosek chyba zbyt pochopny. Niestety nie znamy zbyt wielu przekazów pochodzących jeszcze ze skarbca „historii opowiadanej”. Przekaz najstarszego naszego kronikarza zwanego Gallem (przez niektórych badaczy – ostatnio Tomasza Jasińskiego – uznawanego za Włocha) wymienia imiona władców z rodu panującego, poczynając od pradziada Mieszka I. Tradycja rodowa, szczególnie w społecznościach niepiśmiennych, tworzyła trwałą podstawę wiedzy o przeszłości, która stanowiła namiastkę historii państwa. Warto się zastanowić, jak dalece przyjęcie chrześcijaństwa zmieniło jeden z podstawowych czynników tworzących więzi społeczne – pamięć o wspólnej przeszłości.

Wiedza o przeszłości mieszkańców ziemi Polan we wczesnym średniowieczu, jak można sądzić, wywodziła się z trzech wątków. Pierwszy z nich pochodził, o czym była już mowa, z tradycji dynastycznej, drugi czerpał z treści zawartych w uczonych pismach. Nie ulega wątpliwości, że od czasu przyjęcia chrześcijaństwa coraz większe znaczenie (acz w czasach Mieszka zapewne jeszcze o dość ograniczonym zasięgu społecz-

nym) odgrywała też wiedza czerpana z Pisma Świętego. Powstanie świata, stworzenie człowieka i wygnanie jego protoplastów z raju, wywody dotyczące pochodzenia ludów od trzech synów Noego (z czasem powszechną wiedzą stał się pogląd, że my, Polacy, pochodzimy od Jafeta), podziały językowe od czasów Wieży Babel – wszystkie te treści stopniowo zaczęły być wprowadzane do wiedzy o przeszłości. Z czasem dopiero do dziejów Polski przedostawały się wiadomości czerpane z dzieł starożytnych autorytetów. Pierwszy historyk w Polsce – Gall Anonim – nie powoływał się jeszcze na fakty z dzieł dawnych mędrców. Jego znakomity następca, Mistrz Wincenty zwany Kadłubkiem, piszący na początku XIII wieku, już dobrze znał dzieje starożytne i wprowadzał Polskę do historii powszechnej, każąc walczyć (zwycięsko!) naszym przodkom z Aleksandrem Macedońskim. Sądzić można, że ten wątek dziejowy w czasach chrztu zaczynał dopiero być wplatany do wiedzy o przeszłości, i to na pewno bardzo wąskich elit.

Trzecim źródłem dostarczającym materiału do budowy wspólnej pamięci były odniesienia do stosunków panujących współcześnie, do kompleksów, do potrzeb i pragnień kronikarzy i elit społecznych. Mit etniczny, odwoływanie się do wspólnot etnicznych z przeszłości, połączony z zagrożeniem ze strony „inności” i obawą przed utratą swej tożsamości, wywodził się także z przeświadczenia, że sytuacja poprzedzająca nie może się różnić od sytuacji, jaka następuje po niej. Innymi słowy, stan obecny, między innymi określający więzi

społeczne, pozwalają na projekcję chwili obecnej w przeszłość.

Można się doszukiwać (jak chciał Henryk Łowmiański) jakiejś dawnej tradycji odbitej w relacji Galla o Piaście – oraczu (kołodziejem został określony później). Wątek wywodzenia rodu panującego od rolnika widoczny w tradycji dynastycznej Karyntii jeszcze pod koniec średniowiecza, znany z najdawniejszych źródeł także czeskich, znany i akceptowany przez władców w okresie coraz większego uzależniania chłopów, a niezbyt spójny z rzeczywistością XI i XII wieku (nie mówiąc już o stosunkach panujących w Karyntii XV wieku), wydaje się pochodzić z odległej przeszłości. Nieco sceptycyzmu dostarczają tu porównania – może przejątki – z dziejami Rzymian odrywanych od pługą i powoływanych do władzy. Być może jednak, jakaś pamięć o przewrotach społecznych, ubrana w szaty dostarczone przez pisarzy znających antyczne teksty, funkcjonowała jako ideologiczna podbudowa powstawania nowej organizacji społecznej – państwa. W porównaniu z literaturą germańską (pieśni, sagi), a nawet ugrofińską (zapewne niektóre motywy *Kalewali* są wzięte z odległej tradycji), dorobek przedchrześcijański Słowian w utrwalaniu pamięci o sobie jest jednak mizerny. Początki w dość obszernej wersji Mistrza Wincentego przedstawione są ubogo i raczej oddają bieżące potrzeby polityczne niż rzeczywisty stan rzeczy. Wychodząc bardziej od potrzeb ówczesnej „polityki historycznej”, przenoszą ośrodek pierwszej państwowości do Krakowa, zajętego przez Piastów w 20–30 lat po

chrzcie, tworzą serię legendarnych, złych i dobrych władców, których imiona i dokonania miały na wiele wieków wejść do dzieł kolejnych historyków.

Trzeba jednak zauważyć jeszcze jedno zjawisko rzutujące na świadomość mieszkańców Polski aż do dziś. Być może – o czym była już mowa – Słowianie poczuli się do więzi językowej, może nawet do wspólnej przeszłości. Przyjęcie chrztu dla Polski oznaczało wejście do wspólnoty znacznie szerszej, obejmującej ludy trzech kontynentów, uznającej wspólne prawa, wspólne wartości, posiadającej także wspólną biblijną historię. Już w 100 lat po chrzcie Polski świadectwa z Rusi, z Czech umieszczają wszystkich Słowian wśród potomków Jafeta, poświadczają, że ich język powstał w wyniku interwencji Bożej podczas budowy wieży Babel. Udział we wspólnocie chrześcijańskiej umożliwiał wpisanie się do niej własnymi dokonania-
mi, uznawanymi i cenionymi przez inne ludy. Już sam fakt chrztu Mieszka był postrzegany niewątpliwie jako sukces chrześcijaństwa (przynajmniej wszędzie tam, gdzie wieść o nim dochodziła). W czasach panowania tego Piasta jeszcze niewiele faktów z naszych dziejów zostało wpisanych do kart historii powszechnej. Może jeszcze ślad ostatniej woli księcia (lub jego drugiej chrześcijańskiej żony – Ody), świadectwo oddania papieżowi w opiekę państwa gnieźnieńskiego, mógł być komentowany w Lateranie. (Też nie jest to zbyt pewne, jako że w 100 lat później kardynał Deusdedit, streszczając dokument, napisał o ofiarodawcach: „nie wiem jakiego są narodu, ale sądzę, że byli to Sardyńczycy”!).

Na rzeczywisty liczący się wkład chrześcijańskiej Polski do dziejów trzeba było poczekać przez jedno pokolenie, aż do czasów św. Wojciecha, zjazdu gnieźnieńskiego, założenia polskiej metropolii. Jeśli jednak szukamy początków naszej obecności w Europie, w jej kulturze (bo nie w historii, jako że dzieje powszechne nie mogą być odtwarzane bez ukazywania przeszłości Słowiańszczyzny), to nasz akces do tego kręgu cywilizacji miał miejsce właśnie w 966 roku.

Czy przyjęcie chrześcijaństwa przez Mieszka, jego otoczenie, a z czasem przez coraz liczniejszą grupę mieszkańców kraju przynosiło zmiany w postawach etycznych, w uznawaniu nowych zasad moralnych? Można mieć w tym zakresie różne wątpliwości. Nauka nowej religii musiała być prowadzona w czasach Mieszka I przez duchownych rekrutujących się spoza Polski. Zapewne byli wśród nich Niemcy, Czesi, Włosi, może przybysze z dalekich krain. Jednak tylko czescy duchowni mówili językiem zrozumiałym dla mieszkańców. Trudno przypuszczać, by niemieccy przybysze z cesarstwa mogli prowadzić ewangelizację na wysokim poziomie.

Co stosunkowo łatwo można było zaszczepiać w obyczaj miejscowy? Sądząc z analogii zachodzących przy nawracaniu Pomorzan przez św. Ottona, wprowadzane były normy dotyczące postu (czy rzeczywiście łamano zęby osobom nieprzestrzegającym go? – można, mimo świadectwa źródeł, raczej wątpić), zakazu pracy w niedzielę (nazwa dnia bardzo archaiczna i zawierająca zakaz „działania”), udziału w obrzędach ko-

ścielnych, szczególnie w czasie świąt. Tu oczywiście powstawały kolejne trudności. Nie wiemy, ilu misjonarzy przybyło do Polski. Nie wiemy, ile pobudowano kościołów. Z pewnością, o czym świadczą pozostałości świątyń w Poznaniu, w Gnieźnie, w Gieczu, już w czasach Mieszka miał miejsce duży wysiłek inwestycyjny. Budowane były świątynie murowane, dość skromne w porównaniu z wznoszonymi za granicą, ale niewątpliwie imponujące mieszkańcom domów drewnianych. Kościoły murowane były świadectwem znaczenia nowego porządku. Dawały prestiż fundatorom, potwierdzały znaczenie nowej religii. Jeszcze w późniejszych czasach stanowiły cechę szczególną miejscowości, w której powstawały (stąd dzisiejsze jeszcze nazwy „Kościelców” od wzniesionych murowanych kościołów (kasztelów), „Cerekwic” od drewnianych na ogół cerkwi). Nie było ich wiele, mieściły się wokół głównych siedzib książęcych. Na przybycie wspólnot zakonnych trzeba było jeszcze parę lat poczekać, a jeśli były to zgromadzenia mnisze czy eremickie, to zasięg ich oddziaływania był początkowo niewielki. W czasach początków instytucje kościelne chyba nie stanowiły nadmiernego obciążenia dla ludności pospolitej. Z biegiem lat jednak, o czym możemy wnioskować na podstawie przebiegu wydarzeń późniejszych czasu kryzysu państwa od 1030 roku, nakładane były na mieszkańców kraju coraz większe powinności związane z rosnącymi potrzebami organizacji kościelnej.

Zapewne już od dnia chrztu wprowadzane były zwyczaje związane z nową wiarą. W świątyniach lub

obok nich miały miejsce pochówki rodzin książęcych i możnowładczych, którego to zwyczaju ślady sięgają najpewniej jeszcze czasów Mieszka. Chrześcijaństwo stawało się religią państwową i – przynajmniej na dworze władcy – sam monarcha i dostojnicy państwowi pilnowali przestrzegania nowych praw i nowego obyczaju.

Czy i w jakim stopniu przestrzegane były Przykazania Boże? Znowu jesteśmy tu skazani na domysły. Można przypuszczać, że z pierwszych trzech najłatwiejsze było wdrożenie prawa, „by dzień święty święcić”. Pierwsze przykazanie – jak można wnioskować z czasów późniejszych – było chyba rozumiane jako dające pierwszeństwo Bogu chrześcijan przed różnymi starymi demonami. Na pewno – zgodnie ze strukturą rodową – uznawana była nauka o „czczeniu ojca swego i matki swojej”. Z pozostałymi – nie tylko w X wieku! – było znacznie gorzej. Zabijano, gwałcono, krzywo-przysięgano, zawłaszczano cudze dobra. Dużym sukcesem Dobrawy było pozbycie się kilku żon Mieszka I po przyjęciu chrztu.

Być może jednak, mieszkańcy Polski zaczęli, przynajmniej niektórzy, inaczej postrzegać kategorie dobra i zła. Przynajmniej w aspekcie przyszłej nagrody. Po śmierci „dobrzy” mieli uzyskać wstęp do raju, „źli” – zostać zepchnięci do piekieł. Trudno jednak sądzić, by ta świadomość stawała się powszechna. Niemniej niejako umocowany w starej, mglistej wierze pogląd, że coś po śmierci jednak dzieje się z człowiekiem, znaj-

dował względnie szybkie zrozumienie u nowo chrzczonych.

Trudność w ocenie szybkości przyjmowania chrześcijaństwa wiąże się ze skąpymi źródłami, które, co więcej, pochodzą z różnego czasu. Przykładem może być liczenie czasu. Być może, już za Mieszka uznawano, że świat miał początek (był stworzony) i będzie miał koniec (z Sądem Ostatecznym). Czy ta wizja czasu linearnego była przyjęta powszechnie, nie wiemy i możemy być pod tym względem sceptyczni. Natomiast cykliczny czas – roczny, wyznaczany przez święta kościelne nakładające się na stare zwyczaje, i przede wszystkim tygodniowy też obserwowany wcześniej – był zapewne dość szybko przyjmowany. Zapewne nie następował ten proces jednakowo szybko na całym terytorium państwa Mieszkowego. Na pewno odgrywały tu rolę różne czynniki. Ziemie południowe pozostawały w dniu chrztu polańskiego księcia pod panowaniem czeskim, ich kontakty zatem z religią chrześcijańską były zapewne dobrze zakorzenione. Co prawda, jest uzasadnione przypuszczenie Gerarda Labudy, że włączone zostały organizacyjnie do biskupstw czeskich (Praga, Ołomuniec) dopiero około 975 roku, podczas gdy Wielkopolska otrzymała swojego biskupa Jordana już w 968 roku. Co więcej – w organizacji kościelnej i ziemie nad Wisłą, i Śląsk były obszarami peryferyjnymi. Dla Jordana jednak działanie w ziemi Polan stanowiło cel główny, a dla misjonarzy Moraw czy dla Czech ziemia krakowska stanowiła peryferie. Wszędzie dużą rolę odgrywała miejscowa tradycja – pogańska.

Nie wiemy, gdzie była ona silniejsza. Wielkopolska, jak się wydaje, była bardziej oddalona od kontaktów ze światem chrześcijańskim. Miejsca kultu pogańskiego – zapewne Ślęza, Łysa Góra – lepiej są z kolei rozpoznawane na południu, acz katedra w Gnieźnie prawdopodobnie została wzniesiona na świętym miejscu pogańskim.

Językiem nowego *sacrum* była głównie łacina (na Rusi oczywiście greka, w oparciu o przetworzony alfabet, na której już wówczas zaczynał się rozwój także miejscowego języka pisanego). Do języka szwedzkiego, duńskiego i norweskiego przedostały się niemieckie terminy kościelne. W Czechach, które aż do końca trzeciej ćwierci X wieku należały do diecezji ratyzbońskiej, obok łacińskich także niemieckie terminy wzbogacały język miejscowy. Powstanie biskupstwa w Pradze, osadzenie na nim rodzimych duchownych przyspieszyły rozwój chrześcijańskiego słownictwa w języku czeskim, które z kolei stało się podstawą zasobu polskiego języka kościelnego. Zakorzenienie tej terminologii – może ze względu na brak odpowiednich pojęć w języku rodzimym? – nastąpiło bardzo szybko. Jest bowiem sprawą jasną, że ewangelizacja i katechizacja ludności musiały się odbywać w języku miejscowym, do którego wplatane były określenia i słowa łacińskie i greckie („kierlesze” od *Kyrie eleison*).

Wszystkie te rozważania prowadzą do wniosku, że wprowadzenie chrześcijaństwa do Polski w X wieku dokonywało się niejako wybiórczo. Nowy obyczaj był przez ludzi adaptowany niemal natychmiast w tych

dziedzinach życia, w których jego przyjęcie mogło przynosić doczesne korzyści lub którego działania nawiązywały do dotychczasowej tradycji. Słusznie sądzi Jerzy Kłoczowski, że z dzieła chrystianizacji wynikała konieczność akcentowania momentów kultowych, a nie doktrynalnych. Zapewne nie można jednak negować już w tym pierwszym okresie istnienia zawsze ludziom potrzebnej głębszej refleksji.

VI. WIERZENIA PRZEDCHRZEŚCIJAŃSKIE

Chrześcijaństwo wnosilo Polanom nie tylko nową wiarę wraz z zespołem obyczajów, lecz także próbowało ukazać nowy obraz świata. Pytanie, co musiało zmienić, jakie wyobrażenia miały ulec przekształceniom, frapuje nadal wielu znakomitych badaczy. Do starszej literatury przedmiotu doszły obecnie nowe ustalenia rozszerzające naszą wiedzę o wierzeniach panujących wśród naszych przodków i proponujące kolejne metody badawcze, które pozwoliłyby lepiej poznać kulturę społeczną mieszkańców ziem polskich w dobie budowy państwa. Niezależnie od różnych poglądów nie ulega wątpliwości, że zachodzące zmiany były wprowadzane stopniowo, rozpoczęły się na długo przed chrztem Mieszka i że były wynikiem wpływów zewnętrznych. Trwały zapewne od czasu (jak sugeruje Borys Rybaków) epoki kamiennej, kiedy ludzie zaczęli widzieć świat wielowymiarowo, wyobrażać sobie niebo, budować teorie dotyczące sił kierujących słońcem, deszczem, porami roku. Kiedy wreszcie uznali, że mogą te siły poznawać i, co więcej, że są zdolni je wykorzystywać, powstawały swoiste teorie wyjaśniające zjawiska zachodzące w przyrodzie, tłumaczące udane lub nieudane wyprawy wojenne, wreszcie umożliwiające przewidywanie wydarzeń. Różne obrzędy miały przynosić korzyści, chronić przed znanymi i wyobrażalnymi zagrożeniami, także takimi, które powodować miały twory ludzkich wyobrażeń – istoty spoza świata materialnego. One właśnie tworzyły system alegorii,

symboli, które miały wyjaśniać zachodzące wydarzenia i zabezpieczać przed złem.

Wierzenia panujące w Polsce zmieniały się na przestrzeni dziejów. Różne teorie próbują wyjaśnić ich pochodzenie, przemiany, a także ukazać źródła zapożyczeń. Jak się wydaje, wspólnoty wierzeń mogły nakładać się na wspólnoty etniczne, a z czasem na wspólnoty plemienne, tworząc więź nie tylko kulturalną, ale także polityczną.

Czy w etosie słowiańskim istniała wiara w porządek świata odbity w słynnym tripartitio Dumézila (indoeuropejski model trzech bóstw władających magią, walką i gospodarką) – nie jest sprawą jasną. Badania Aleksandra Gieysztora raczej sugerują sceptyczny stosunek do tej tezy. Z kolei rozważania Jacka Banażkiewicza pozwalają na nieco inne spojrzenie na ówczesne wierzenia i wyobrażenia o świecie. Badacz ten przekonująco ukazywał wspólne podstawy wyobrażeń na temat porządku świata odbite w strukturach myślowych ludzi. Z kolei Stanisław Rosik zwracał uwagę na wpływy chrześcijaństwa na wierzenia słowiańskich pogan istniejące przynajmniej od czasów wędrówki ludów. Krytycznie zestawiał te i starsze jeszcze poglądy Leszek Śłupecki, prezentując przy tym własne przemyślenia dotyczące kolejnych etapów rozwoju wierzeń pogańskich i stawiając kolejne ważne pytania dotyczące ich kształtu. Czy był on wspólny dla wszystkich Słowian w początkowej fazie ich wyodrębniania się z ludów europejskich – nie sposób z pewnością stwierdzić. W swej ekspansji terytorialnej prowadzonej przy-

najmniej od V wieku Słowianie zasiedlali ziemie o odmiennym klimacie, sąsiadujące z ludami na różnym poziomie kultury. Być może, jak uznawał Henryk Łowmiański, ich pierwotne mity wywodziły się z obserwacji zjawisk przyrodniczych. Kontakty z sąsiadami, wpływy wierzeń chrześcijańskich, a także germańskich, irańskich, tureckich, może i ugrofińskich, tworzyły zapewne różne odmienności, z czasem narastające. Można jednak sformułować spostrzeżenia dotyczące etapów wykształcenia się wspólnot przedchrześcijańskich wierzeń. Pierwszy z nich, sądząc z badań archeologów, dotyczy jednolitej podstawy uznawania za głównego boga władcy nieba. W materiale językowym Perun, bóg piorunów, rzeczywiście wydaje się znany na szerokim terytorium zamieszkanym nie tylko przez Słowian, lecz także przez Bałtów. Być może wyznaczał krąg ludów indoeuropejskich, ale w czasach, o których można powiedzieć nieco więcej, chyba zmieniał swoje imię, atrybuty, może i rodzaj działań w zależności od znacznie węższych grup plemiennych. Zapewne wpływały na to i odmienne warunki środowiska naturalnego, z którymi związane były różne zajęcia gospodarcze i bliskość kontaktów z wyżej rozwiniętymi religiami. Słowianie nie pozostawili po sobie wyraźnych śladów mitologii. Nie tylko tak rozbudowanej, jaka występowała w różnych postaciach nad brzegami Morza Śródziemnego, ale także znacznie uboższą od germańskiej. Być może, nie wiązali swych mitów w jeden system teogoniczny, być może wystarczały im wierzenia w twórcze siły przyrody. Kronikarz z XI wieku, Adam

Bremeński, pisał, powołując się na króla Duńczyków Swena Estridsena, że „ludy Słowiańskie już dawno, z największą łatwością mogły być nawrócone na wiarę chrześcijańską, gdyby na przeszkodzie nie stawa

ła była chciwość Sasów [...] którzy gwoli zdobycia pieniędzy pogardzają zbawieniem tych, którzy chcieli uwierzyć". Może jednak tak było w czasach niewielkich kontaktów Polan z sąsiadami, wydaje się bowiem niewątpliwe, że mitologia słowiańska ulegała zmianom, wierzenia stawały się coraz bogatsze. Zapewne nie tylko w czasach poprzedzających chrzest Mieszka, lecz także później, kiedy na utrwalone zwyczaje nakładały się coraz wyraźniejsze wpływy bardziej rozbudowanego postrzegania świata. Już przed chrztem zakorzenione były w świadomości ludzi przekonania o istnieniu świata poza materialnego, pozagrobowego. Świadczą o tym wyraźnie sposoby pochówków, wyposażenie grobów w przedmioty potrzebne do bytowania „tam”, tworzenie i zachowywanie miejsc pamięci w postaci kurhanów czy kopców. Wyznaczały one kręgi wierzeń, obszary wspólnego obyczaju, wspólnej kultury duchowej. Są ślady materialne, widoczne w topografii kultu, trudno stwierdzić, jak szeroką przestrzeń obejmującego. Wreszcie są bardziej wymowne ślady wierzeń — posągi bogów i, już z końca okresu pogańskiego, opisy obrzędów. Proboszcz z Bzowa w Holsztynie z drugiej połowy XII wieku — Hel- mold — pisał: „Odradzał się w owych dniach po całej Słowiańszczyźnie wieloraki kult bałwanów i praktyki zabobonne. Albowiem oprócz [świętych] gajów i niebożąt, w które obfitowały pola i miasta, najpierwszymi i najważniejszymi byli Prowe [może Perun? — H. S.], bóg ziemi starogardzkiej, Siwa, bogini Połabian, i Radogost, bóg ziemi Obodrytów. Tym bóstwom poświęceni byli kapłani, dla nich

urządzano ofiarne uczty, jak też i oddawano w wieloraki sposób cześć. Mianowicie kapłan stosownie do wskazówek losu zapowiada uroczystości na cześć bogów, po czym schodzą się mężowie i kobiety z dziećmi; zabijają na ofiarę swoim bogom woły i owce, niektórzy nawet chrześcijan, głosząc, że bogowie ich lubują się w chrześcijańskiej krwi. Po zabiciu ofiarnego zwierzęcia kapłan kosztuje jego krwi, by stać się wrażliwszym na wieszczę natchnienie. [...] Gdy zaś dopełnią się ofiary zgodnie ze zwyczajem, lud zaczyna ucztować i bawić się”.

Kronikarz duński, Saxo Grammaticus, opisywał nieco później wierzenia i kult pogański na Rugii. W Arkonie (gród na tej wyspie) „znajdował się plac, na którym stała świątynia drewniana o misternej budowlu, wzbudzająca cześć nie tylko wspaniałością tam odprawianych obrzędów, lecz boskością posągu w niej umieszczonego. [...] W świątyni stał posąg ogromny przewyższający postać ciała ludzkiego, czterema głowami i tyłuż karkami wzbudzający zadziwienie. [...] W prawej ręce trzymał róg [...] który kapłan [...] co rok napełniał miodem, aby ze stanu napoju mógł wywnioskować o obfitości roku przyszłego. [...] Bóstwo to miało także inne świątynie w wielu miejscach [...] posiadało osobnego konia białej maści. Wrózenie z konia odbywało się w ten sposób: gdy zamierzali przedsięwziąć wojnę [...] rozkładali [...] potrójny rząd włóczni skrzyżowanych ze sobą po dwie w każdym rzędzie [...] które wbijano ostrzem w ziemię. [...] Kapłan przeprowadzał konia [...] Gdy przeszedł przez włócznie [...] je-

śli potrafił ustawione rzędy najprzód prawą, a nie lewą nogą, przyjmowano to jako pomyślny znak dla prowadzenia wojny; jeśli lewą – porzucano zamiar najechania owego kraju”.

Jeśli wierzenia dotyczące powodzeń wypraw wojennych miały miejsce w Radogoszczy, to wydaje się oczywiste, że były one obecne i w innych wspólnotach politycznych, nie tylko skupionych wokół tego miejsca. Innymi słowy, poczucie więzi religijnej dotyczyło chyba różnych grup plemiennych, a praktykowane obrzędy stanowiły i demonstrację wspólnoty, i wyróżnik szerszej lub węższej organizacji społecznej. Wiemy, że nieco później, już w czasach Bolesława Chrobrego i organizowania metropolii gnieźnieńskiej, nowo powołany biskup Kołobrzegu, Reinbern (jak opisywał to współczesny mu Thietmar), „Niszczył i palił świątynie z posągami bożków i oczyścił morze zamieszkałe przez złe duchy wrzuciwszy w nie cztery kamienie pomazane świętym olejem i skropiwszy je wodą święconą”. Może mieszkańcy tego grodu czcili jakiegoś boga morskiego, którego kult wyróżniał ich od plemion zamieszkujących z dala od wybrzeża? Odwołując się do analogii z innymi ludami w różnych epokach, można zaryzykować pogląd, że także w środkowej i wschodniej Europie w okresie przedchrześcijańskim religia stanowiła o wyznaczniku odrębności (a więc i wspólnoty) politycznej.

Przeniesienie tych opisów na czasy Mieszka, zapewne zasadne, może jednak budzić niejakie wątpliwości. Cytowane teksty pochodzą z czasów późniejszych o dwa stulecia od roku chrztu władcy pogańskiego. Do-

tyczą izolowanych już wówczas środowisk pogańskich Słowian zachodnich otoczonych krajami chrześcijańskimi o znacznie bardziej rozbudowanych zasadach wiary, bez porównania bogatszych tradycjach i rozwiniętej liturgii. Być może, niektóre opisane wyżej obrzędy powstawały na podstawie zapożyczeń z ziem sąsiednich, obyczajów dobrze znanych na Słowiańszczyźnie zachodniej przynajmniej od czasów Karola Wielkiego.

Część krajów nadbałtyckich była już wcześniej chrystianizowana, część – od lat osiemdziesiątych X wieku – wróciła do wiary pogańskiej. Powstanie Słowian połabskich przeciwko Niemcom w 983 roku było skierowane przeciwko władzy utożsamianej z nową religią. Obyczaje zaś przynoszone przez tę ostatnią, rozbudowane ceremonie kościelne, nauki o życiu pozagrobowym, niewątpliwie mogły wpływać na rozbudowywanie refleksji religijnej, wzorce postępowania i przystosowanie ich do potrzeb i obyczajów miejscowych.

Zapewne Henryk Łowmiański zbyt krańcowo ocenił niedorozwój kultów pogańskich (sugerując nawet, że „Triglaw” swe imię brał od Świętej Trójcy, a „Swentowit” – od św. Wita). Niemniej należy bardzo ostrożnie przyjmować pogląd o rozwiniętej religii pogańskiej, o istnieniu przed czasami Mieszka obrzędów opisanych w późniejszych czasach. Sporządzony przez Jerzego Strzelczyka bogaty leksykon mitów i wierzeń pogańskich, cenny materiał ukazujący bogactwo wyobrażeń naszych przodków, obejmuje zapewne wiele warstw chronologicznych narastających z czasem, zmienianych

i rozbudowywanych wraz z coraz lepiej znanym obyczajem chrześcijańskim.

Zestaw ten pozwala też na pogląd, że nie sposób zgodzić się z wyrażanym niekiedy poglądem o braku refleksji intelektualnej u Słowian, stymulującej jakąś wizję wykraczającą poza świat widzialny. Przeczy temu parę bardzo istotnych faktów. Pierwszy z nich, może najistotniejszy, bo sięgający bardzo odległych czasów, dotyczy pochówków na ziemiach Polski. Pominąć można już wcześniejsze przedślowiańskie kurhany, kopce (takie jak Kopiec Wandy czy Krakusa) świadczące o potrzebie pamięci o zmarłych. Podobnie jak egipskie piramidy, są one świadectwem „życia po śmierci”, zapewne nie tylko w pamięci bliskich, lecz także mają świadczyć o ich bycie w jakichś zaświatach. Wyposażenia grobów już z czasów wczesnego średniowiecza na ziemiach polskich wyraźnie zdają się wskazywać na istnienie pośmiertnych potrzeb człowieka. Ubiory, broń, ozdoby być może miały na celu poświadczenie pozycji społecznej człowieka, ale chyba także zapewniały mu lepsze życie „tam”, za grobem. Niektóre ślady zdają się wskazywać na istnienie wiary w demony, w „żywych zmarłych”, o których pisał Edward Potkowski, na zabezpieczanie się (przez wbijanie kołków w ciało nieboszczyka) przed ich pozgonną działalnością.

Drugim ważnym śladem są dość liczne „święte miejsca”, zlokalizowane w wielu miejscowościach. Nie budzi wątpliwości rola Ślęży jako świętego, magicznego miejsca kultu, być może wspólnego dla plemion ślą-

skich. Już więcej kłopotów sprawia historykom Łysa Góra (Łysiec), która według ustaleń Marka Derwicha zyskała sławę jako dawne miejsce spotkań czarownic dopiero w czasach istnienia już na jej terenie zgromadzenia benedyktynów. Niektóre miejscowości – Kołokół na Pomorzu, Góra Świętej Małgorzaty koło Łęczycy, Wieżyca na Kaszubach – przez wielu badaczy uznawane są nie bez podstaw za miejsca kultowe. Niektóre miejscowości mają potwierdzenie swych sakralnych funkcji w znaleziskach archeologicznych. „Podejrzane” są między innymi Gniezno, Szczecin, Wrocław, Ostrów Tumski, Wolin, Korzenica, dobrze rozpoznane ostatnio, leżące na ziemiach zachodniej Słowiańszczyzny Gross Raden, Parchim, Ralswiek. Nie budzi wątpliwości istnienie pogańskich świątyń dobrze opisanych (niestety w późniejszych dwunastowiecznych źródłach) w Arkonie na Rugii czy w Radogoszczy (miejscowości do dziś niezidentyfikowanej). Badacze – Gerard Labuda, Aleksander Gieysztor, Jacek Banaszkiewicz – zwracają uwagę na nazwy miejscowe, nie tylko świadczące o istnieniu ośrodków kultury, ale także wskazujące na istnienie w świadomości Słowian bytów pozamaterialnych. Nazwa „Piorunów” jest zapewne nawiązaniem do Peruna, boga nieba, grzmotu, może władcy zaświatów. Śladem innego bóstwa – Żmija, Żmij – są liczne w Polsce Żmigrody zapewne ochraniające dobra materialne ludzi przed wrogami, najeźdźcami. Święte źródła, święte kamienie, święte gaje, co prawda pochodzące już z czasów chrześcijańskich, ale wywodząc swe nazwy z kultu przyrody, zapewne zostały dopiero „ochrzczo-

ne” i przejęte przez Kościół. Nie ulega bowiem wątpliwości, że ta właśnie instytucja przez całe wieki podejmowała starania nie tyle o zniszczenie starych obyczajów, ile o ich sakralizację, przyjęcie do własnego obrządku. Śladem, przekształconym, zmienianym, są tradycje topienia wianków i nocy świętojańskiej, może dziadów i obchodów dnia pamięci o zmarłych, sakralizacja dni stanowiących ważne daty rocznego kalendarza: Matki Boskiej Zielnej czy Matki Boskiej Gromnicznej. Niektóre obrzędy, na przykład „ostatniego kłosa”, kończące żniwa, mające zagwarantować obfite plony w następnym roku, były (może jeszcze są) praktykowane do czasów współczesnych. Kolejnym zapewne śladem dawnych wierzeń i wyobrażeń o świecie niematerialnym, jeszcze bardziej mglistym, niepewnym, są świadectwa mówiące o demonach, strzygach, wijach, upiorach i wszelkich innych bytach niematerialnych, na ogół grożących człowiekowi, choć niekiedy współżyjących z nim w zgodzie.

Wreszcie bardzo ważnym i już niepodważalnym świadectwem starych wierzeń są znajdowane przedmioty kultu. Wielki posąg tzw. Światowida wydobyty ponad 100 lat temu ze Styru mógł budzić wątpliwości badaczy mimo tekstów mówiących o przedstawieniach bóstw niszczonech w czasie chrztu. Znacznie więcej jednak wnoszą do naszej wiedzy znaleziska licznych małych figurek tego bóstwa, niewątpliwie noszonych przez poszczególne osoby. Tak jak o postępie chrystianizacji świadczą noszone małe „osobiste” krzyżyki, tak o powszechności starej wiary świadczyły owe postacie

bóstwa noszone przy sobie przez ludzi. Jak się ono nazywało? Może Swaróg (Swarożyc), może Triglaw, może w każdym plemienu inaczej? Te imiona stanowić mogły „dowód osobisty”, znak identyfikacyjny lokalnych wspólnot.

Przy opisie „dnia chrztu” warto o tych sprawach wspominać, przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, by ukazać zmiany zachodzące w ludzkich poglądach na świat i życie, glebę, na której zasiewane były nowe prawdy wiary. Po drugie jednak także po to, żeby podkreślić, że przyjmowanie chrześcijaństwa nie było aktem jednorazowym, obejmującym wszystkich mieszkańców państwa Mieszkowego. Stanowiło ono bowiem zapewne najważniejsze ogniwo w długim łańcuchu chrystianizacji Polaków, nie pierwsze zapewne, a z całą pewnością nie ostatnie. Także aby można było wskazać na bardzo istotne jej mechanizmy dotyczące włączania nowej religii do starych obyczajów, które z kolei zaczynały przybierać charakter nowego *sacrum*.

VII. GOSPODARKA A CZAS CHRZTU

Wydarzenia, które towarzyszą w czasie tytułowemu zagadnieniu niniejszych rozważań, prowokują do stawiania wielu pytań. Dlaczego proces rozszerzania się Europy rozpoczął się w okresie upadku karolińskiej idei zjednoczenia? Dlaczego w czasie kryzysu intelektualnego, moralnego i organizacyjnego Kościół rzymski odniósł największy sukces od momentu uzyskania edyktu mediolańskiego, chrystianizując sześć państw Nowej Europy? Jakie mechanizmy spowodowały przekształcanie się struktur plemiennych w struktury państwowe i na czym to przekształcanie polegało? Czy istniały gospodarcze podstawy przyśpieszające te procesy? Jakie i skąd czerpano środki, umożliwiające budowę organizacji państwowej? Wiadomo, że było to w pewnym sensie „finansowanie inwestycji”, i to inwestycji kosztownej, wymagającej znalezienia dodatkowych źródeł dochodu. Skąd pogański, najuboższy świat ówczesnej Europy miał odpowiednie środki na tę działalność? Czy owe państwa rzeczywiście stanowiły organizacje polityczne podobne do znanych z czasów późniejszych, to znaczy działające również na polu gospodarczym? Pytań jest znacznie więcej i można je mnożyć, tym bardziej że widoczne są różnice w procesach powstawania każdego z tych nowych ośrodków państwowych. Na wiele pytań można próbować odpowiedzieć, opierając się na znakomitych osiągnięciach archeologów, antropologów kultury, historyków sztuki, językoznawców. Rewelacje przynieszone przez tych

pierwszych pozwalają na daleko idącą korektę dotychczasowych ustaleń, ale jednocześnie skłaniają do stawiania wielu nowych znaków zapytania.

Jeden z ważniejszych dotyczy zagadnienia, czy ludy zamieszkujące rozległe ziemie Europy stanowiły izolowane grupy mieszkańców żyjących, jak sądzono do niedawna, w odciętych od świata puszczańskich mactecznikach. (Jeszcze Antoni Gołubiew pierwszy tom swej arcyciekawej sagi o Bolesławie Chrobrym zatytułował *W Puszczy*). W świetle obecnej wiedzy odpowiedź na to pytanie musi być zdecydowanie negatywna. W wiekach IX–X wyraźnie wzrastała intensywność kontaktów między ludami zamieszkującymi rozległe ziemie Europy i Azji. Handel, a więc wymiana towarów, a przy tej okazji nowinek technicznych i wiadomości, sprzyjał – co jest też bardzo ważne – rozszerzaniu wiary chrześcijańskiej.

Ta wymiana wymuszała tworzenie systemów porozumiewania się – gestem, głosem, znakiem. Gest był użyteczny zawsze, a gest liturgiczny stawał się znakiem rozpoznawalnym powszechnie. Głos nabierał znaczenia wraz z poznawaniem obcych słów, obcych języków. Znakiem, który ułatwiał komunikację między ludźmi niezależnie od ich języka i od symboli religijnych, był pieniądz. Jeśli prowadzony był handel między ziemiami nad Bałtykiem a Konstantynopolem, to musiała się wytworzyć w miarę jednolita ocena wartości towarów, by działalność ta była możliwa.

Ażeby lepiej zorientować się w tej formie kontaktów, trzeba zwrócić uwagę na podstawy gospodarcze

tworzących się organizacji społecznych X wieku. Panuje dość zgodny pogląd, że wśród głównych zajęć gospodarczych należy wymienić rolnictwo, hodowlę i bartnictwo. Na pewno niesłusznie pomijane są łowiectwo i rybołówstwo. Łowy na wszelkiego rodzaju zwierzyńę, stanowiące istotne uzupełnianie gospodarstwa domowego, są zbyt dobrze poświadczone dla następnych stuleci, by nie uznać tej sfery aktywności za ważną podstawę bytu mieszkańców całej Europy. Szczególnie – co w przypadku przekształceń organizacji społecznych ma szczególne znaczenie – ważne były te łowy, które przynosiły dochody pozwalające na wzbogacanie się elit społecznych, dostarczając cennych towarów na potrzeby dalekosiężnej wymiany.

Przy czym nie tylko dalekiej. Chyba zbyt mało uwagi poświęca się zagadnieniom handlu produktami niezbędnymi w gospodarce lokalnej, przede wszystkim solą, produktem niezbędnym do życia. Można sądzić, że na długo przed chrztem, „od zawsze”, zaopatrywanie gospodarstw domowych w sól stanowiło jedną z głównych trosk mieszkańców ziem polskich. Ten produkt musiał być dostarczany na targi będące miejscami wymiany dla całej ludności, z czasem obejmującej także inne cenne towary, niewyrabiane w ramach gospodarstwa domowego. Sieć dróg, którymi sól była dostarczana, łączyła różne ziemie, tworzyła przesłanki powiązań międzyplemiennych, z czasem też między państwowych. Skąd pochodziła sól dostępna na targach państwa polańskiego? Na pewno jej część przywożona była z nadmorskich salin w Kołobrzegu, część uzyskiwana

ze słonych źródeł na Kujawach, część wreszcie importowano z pobliskich krajów – Rusi, Saksonii, już wówczas także znana była „wielka sól” ziemi krakowskiej, acz prawdopodobnie tamtejsze kopalnie zaczęły być eksploatowane na większą skalę dopiero później. Analiza źródeł pochodzących z następnych stuleci prowadzi do wniosku, że produkt ten krążył we wszystkich kierunkach wszelkimi dostępnymi drogami – lądowymi i rzecznyymi. Wydaje się przy tym, że już bardzo wcześnie, może nawet w czasach Mieszka, podejmowane były próby reglamentacji dochodowego handlu solą poprzez ściąganie dochodów w wyznaczonych ośrodkach targowych. Nawet jeśli w X wieku powstające państwo nie monopolizowało całej działalności na tym polu, to niewątpliwie powiązania stymulowane handlem solą integrowały je, jeśli nie politycznie, to przynajmniej gospodarczo.

Nie zmienia to faktu, że gospodarka w całej Europie była słabo rozwinięta. Gdyby przedstawić dla VI–VII wieku przybliżony bilans handlowy trzech wielkich „światów gospodarki”, to zapewne należałoby uznać, że w kontaktach Bizancjum z państwami należącymi do kręgu łacińskiego był on dla Zachodu zdecydowanie ujemny. Ziemie *barbaricum*, generalnie rzecz biorąc, w ogóle znajdowały się poza kręgiem kontynentalnej wymiany towarowej. Oczywiście są świadectwa importów z Południa, ale ogólnie można stwierdzić, że z państw ludów germańskich: Franków, Wizygotów, Bawarów i z heptarchii anglosaskiej wyciekały skąpe strugi pieniądza kruszcowego w zamian za różne dobra,

sprowadzane z Bizancjum. Ziemie Słowian, Skandynawów i Bałtów leżały na uboczu tej działalności i w niewielkim stopniu zdobywały produkty poszukiwane do swych samowystarczalnych gospodarstw. Już jednak w VIII wieku sytuacja zaczęła się zmieniać, a to z racji powstania państwa Karola Wielkiego, stanowiącego inwestycję mającą przynosić zyski z wypraw wojennych. Na pewno potencjał gospodarki karolińskiej był niższy niż potencjał Bizancjum, nie mówiąc już o świecie arabskim, ale bilans handlowy w kontaktach z rejonem Morza Śródziemnego zaczynał się stawać dla Zachodu bardziej korzystny.

Czy ziemie wschodniej Europy także korzystały z tego stanu rzeczy? Zapewne jeszcze nie za życia samego Karola, ale rozwój wydarzeń w ciągu IX wieku doprowadził do sytuacji, w której kraje dotychczasperyferyjne zaczęły się włączać do dalekosiężnej wymiany. Sąd ten poświadczają liczne źródła przynoszące wiadomości o działalności wikingów, o powstawaniu sieci szlaków komunikacyjnych, ośrodków wielkiego handlu na nowych ziemiach, a także o znaleziskach monet, które zaczęły napływać na tereny wschodniej Europy. Budowa nowych organizacji społecznych – państw – wymagała środków finansowych, które bez istnienia wielkiej wymiany nie byłyby do uzyskania. Używając dzisiejszej terminologii, potrzebna była waluta wymienialna. Tylko dzięki jej posiadaniu można było nabywać lepszą broń, ubiory świadczące o statusie ich właścicieli w hierarchii prestiżu społecznego, co najważniejsze – umożliwiało sprowadzanie specjali-

stów, których wynagradzać trzeba było nie tylko, lecz także w „walucie wymienialnej”. Byli wśród nich duchowni, sprawni w dziele misyjnym, jak również w kontaktach międzypaństwowych, architekci wznoszący kościoły i książęce dwory, mincerze wybijający własny pieniądz, specjaliści w nowych dziedzinach pracy – w uprawie winorośli czy hodowli sokołów.

Na pewno w budżecie nowych państw ważną rolę odgrywały lupy i daniny uzyskiwane od uzależnionych sąsiadów. Trzeba jednak brać pod uwagę fakt, że nie wszystkie dobra zdobywane przez Mieszka I czy Włodzimierza Wielkiego mogły stanowić wartość wymienną za sprowadzane towary. Zatem te, które można było korzystnie sprzedać, musiały być pozyskiwane „drogą pokojową” (przynajmniej w sensie teoretycznym, w praktyce, jak wiadomo, bywało różnie), czyli poprzez handel. Złupienie przez wyprawę wojenną klasztoru, grodu czy kupieckiej karawany przynosiło też dobra stanowiące wartość wymienną w skali powszechnej: złote i srebrne naczynia, drogie kamienie, broń, ubiory, a także niekiedy bogate zasoby pieniądza kruszcowego.

Zagadnienie „skarbów” zbiorów monet znanych z wielotysięcznych znalezisk na pobrzeżu Bałtyku, także w Polsce, jest jednak skomplikowane. Czy były one gromadzone na potrzeby planowanych wydatków? Dlaczego w tym przypadku zakopywane były tak powszechnie w ziemi, a nie przechodziły w ręce handlarzy bronią czy biżuterią? Czy srebrne i złote monety arabskie, bizantyjskie, frankijskie, anglosaskie, nawet nie-

kiedy jeszcze emitowane w antycznym cesarstwie rzymskim, były przeznaczone na potrzeby wielkiego handlu, czy służyły i w obrocie wewnętrznym? Znamienny jest tu opis stosunków w pobliskiej Pradze, dokonany przez Ibrahima ibn Jakuba: „Przybywają [do Pragi – H. S.] [...] Rusowie [tj. Waregowie – H. S.] i Słowianie z towarami. [...] przychodzą do nich z krain Turków muzułmanie, Żydzi i Turcy również z towarami i pieniędzmi [w oryginale określenie oznaczające wagę monety w kruszcu – H. S.] [...] Sprzedaje się u nich pszenicę (może: żyto) za kirat zdawkowy [arabska moneta – H. S.] [...] W krajach Czech wyrabia się też lekkie chusteczki o nader cienkiej tkaninie na kształt siatki, które do niczego nie służą (nie zdatne do niczego). Cena ich (wynosi) u nich każdego czasu dziesięć chustek za (jeden) kirat zdawkowy. Za nie sprzedają i kupczą między sobą. Posiadają ich (całe) naczynia. Stanowią one u nich majątek i [wyznaczają – H. S.] cenę (wszelkich) przedmiotów. Za nie nabywa się pszenicę, mąkę, konie, złoto, srebro i wszelkie przedmioty”. Naszych rodakom pamiętającym czasy PRL przypominają się przy tej lekturze relacje między dolarem, międzynarodową walutą, i polskim złotym, podówczas lokalną jednostką płatniczą, posiadającą jednak relacje (różne!) z pieniądzem zagranicznym. Te analogie niekiedy są uderzające. Jeśli wierzyć Ibrahimowi, można było za owe „chusteczki” (płaty lniane, stąd dziś „płacimy”) nabyć walutę międzynarodową – złoto, srebro. Czy na zakup produktów dostępnych tylko za granicą, czy też w celach tezauryzacji? Jest także możliwość

trzecia, wynikająca raczej z potrzeb psychologicznych niż z gospodarczych. Posiadacz skarbu mógł cieszyć się nie tylko większymi możliwościami nabywania cennych produktów, ale także większym prestiżem społecznym. Zjawisko to znane także dziś (biorąc pod uwagę wielkie rezydencje nie w pełni wykorzystywane, zbiory dzieł sztuki nie zawsze powszechnie oglądane i podziwiane czy kolekcje różnych przedmiotów) może stanowić podstawę wyjaśniającą istnienie owych skarbów nad Bałtykiem.

Czy były one wykorzystywane w obrocie miejscowym? Zapewne miało to miejsce w przypadku nabywania wyjątkowych, cennych przedmiotów. Nie wiemy, czy w państwie Mieszka kursowały owe „chusteczki” (które z okazji chrztu mogłyby być rozrzucane wśród podgrodzian Poznania!), ale z pewnością różne płacidy, czyli pieniądź niemetaliczny (na przykład skórki wiewiórcze z wyskubanym włosiem spięte ołowianą klamrą), były u Polan w użyciu.

Wyznacznikiem bogactwa, prestiżu, zapewne społecznego znaczenia człowieka były jednak złoto i srebro w różnej postaci. Już z czasów późniejszych, z początków XII wieku, pochodzi taki opis Snorre Sturlasona złupienia przez wikingów (Słowian z Pomorza Nadodrzańskiego) norweskiego miasta Konungaheli: „Po zdobyciu grodu »poganie« [co prawda Pomorzanie byli już formalnie chrześcijanami – H. S.] wzięli wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci; zabili wiele tych, co byli albo ranni, albo zbyt młodzi do transportu. Następnie zagarnęli wszystko co było w grodzie. Wdarli się do

kościół świętego Krzyża zabierając całe urządzenie. Ksiądz [z tego kościoła – H. S.] dał [...] [wodzowi wyprawy – H. S.] laskę obijaną srebrem [...] a jego siostrzeńcowi złoty pierścień [...] Słowianie wzięli krzyż święty [...] następnie wzięli stół, który stał przed ołtarzem, a który król [norweski – H. S.] kazał sporządzić w Grecji”.

Znaleziska monet – w znacznej liczbie arabskich – świadczą jednak, że te akurat wyznaczniki bogactwa raczej uzyskiwane były drogą handlową. „Skarby” odkrywane na całym południowym wybrzeżu Bałtyku mogą wskazywać nawet, że główny przepływ srebrnych i niekiedy złotych monet był skierowany na północ. Warto zatem zastanowić się nad bilansem ponadregionalnej wymiany prowadzonej między Młodsza Europą a bardziej rozwiniętymi krajami na kontynencie.

Wśród produktów poszukiwanych w ówczesnym wielkim handlu niewiele było takich, które pochodziłyby z krajów Europy Wschodniej. Rolnictwo stanowiące podstawę gospodarki oparte było głównie na uprawie prosa, w znacznie mniejszym stopniu zaś tych zbóż, które poszukiwane były w latach głodu na południu i na zachodzie kontynentu. Ponadto biorąc pod uwagę bardzo niską wydajność plonów i kłopoty z transportem towarów masowych, trudno byłoby przypuszczać, że płody rolne mogły wpływać na korzystny bilans handlu zagranicznego.

Z płodów natury na pewno można było eksportować miód – podstawowy produkt słodzący potrawy ówczesnych kuchni. Był on jednak także dobrze znany,

od czasów antycznych, we wszystkich krajach śródziemnomorskich. Nie jest jasne, od kiedy kolejny produkt eksportowy ze wschodu kontynentu – czerwiec barwnik do tkanin – zaczął być poszukiwany jako potrzebny dla przemysłu włókienniczego, wydaje się jednak, że nastąpiło to znacznie później. Towarem poszukiwanym niekiedy za granicą i zawsze pożądanym w kraju było mięso. Czy świnie, a raczej dziki żyjące na poły na swobodzie, mogły być transportowane na znaczne odległości – można wątpić. Przepęd dzików nie był stosowanym sposobem, natomiast przewóz mięsa utrudniały problemy z jego konserwacją. Natomiast – o czym wiemy ze źródeł nieco późniejszych, jak również z wyliczania łupów i danin trybutarnych – cennym towarem było bydło. Stada na pewno były przepędzane, niekiedy na znaczne odległości, czego świadectwem jest wymienianie ich w najstarszych taryfach celnych. Być może, był to towar znajdujący duży zbytk w bogatych krajach ówczesnego świata.

Jakie jednak mieszkańcy Europy Wschodniej mieli możliwości, by opłacać już na początku IX wieku broń sprowadzaną z państwa Karola Wielkiego? Hipoteza wyjaśniająca to eksportem bursztynu jest bardzo wątpliwa. Po pierwsze, bursztyn był wydobywany i w Anatolii, i na obszarach cesarstwa zachodniego nad Morzem Północnym; zapotrzebowanie zatem na ten produkt było ograniczone. Po drugie, jego znaczenie w handlu międzynarodowym w porównaniu z czasami Imperium Romanum zdecydowanie zmalało. Po trzecie wreszcie, trudno przypuścić, by eksport tego towaru w jakikol-

wiek sposób mógł się przyczyniać do powstawania państw odległych od morza – czeskiego, węgierskiego, czy nawet polskiego.

W krajach na wschodzie i północy Europy istniały natomiast dwa – a gdzieś tam trzy – produkty szczególnie poszukiwane, przede wszystkim w krajach islamu: ludzie i futra, i w znacznie już mniejszym stopniu rudy metali (na przykład cyny). Lasy pokrywające wschód kontynentu stanowiły obszar, z którego można było pozyskiwać dowolną ilość futer. Z okresu późniejszego pochodzą informacje mówiące o transportach zawierających nawet około 10 tysięcy futerek zajęcy, wiewiórek, kun i innych gatunków zwierzyny futerkowej. Nie ulega wątpliwości, że świat śródziemnomorski mógł importować ozdobne futra z Afryki czy ze środkowej Azji, ale masowe potrzeby zaspokajać mógł także handel z krajami Północy.

Natomiast wymieniając jako wartość eksportową ludzi, należy mieć na myśli niewolników, jeńców schwytanych podczas wypraw wojennych, aby w więzach doprowadzać ich na targi do Bizancjum (w tym i bizantyjskich posiadłości we Włoszech, na przykład w Wenecji) i do krajów arabskich. Nie można wykluczyć, iż „eksport” ludzi odbywał się także w inny sposób, na przykład wspólnoty terytorialne pozbywały się osobników niewygodnych (przestępców), a może nawet w zamian za atrakcyjne towary oddawani byli samotni, ubożsi współrodowcy. Trzeba też brać pod uwagę, że w pewnych okolicznościach taki eksport mógł stanowić szansę awansu dla zubożałych (czy odtrąconych przez

otoczenie) członków wspólnot plemiennych. Praca w kopalniach czy na galerach na pewno była mordercza, ale już służba w wojsku (późniejsi nieco mamelucy czy jeszcze późniejsi janczarzy) mogła stwarzać jeńcom istotną możliwość awansu w hierarchii społecznej.

Do rozważenia tego problemu można wykorzystać zachowane taryfy celne z X wieku (taryfą z Raffelstetten), a także późniejsze powstałe na obszarach, przez które przechodziły szlaki dalekiej wymiany (między innymi polską taryfę z Pomnichowa).

Analizując te teksty, można – wstępnie – sformułować następujące wnioski. Przez ponad dwa stulecia najwyższą wartość wywożoną z obszarów powstających państw stanowili ludzie. Żaden inny produkt wywożony do Bizancjum czy do arabskich kalifatów nie miał równie wysokiej wartości rynkowej. Żywność w porównaniu z wyrobami przemysłowymi była znacznie tańsza. Rudy metali, trudne do przewozu, wydobywane tylko na niewielkich obszarach, nie mogły stanowić równie znaczącej jak niewolnicy pozycji w bilansie handlowym. Futra zaś jako produkty masowego eksportu, na pewno mające zasadnicze znaczenie w rozwoju handlu Rusi Nowogrodzkiej, według badacza tak dobrze znającego realia tego handlu, jak Paul Johansen, nie zmieniały (przynajmniej w XIII wieku) ujemnego bilansu wymiany między strefą bałtycką a zachodem Europy. Wartość futer nie równoważyła wartości sukna i innych produktów przywożonych z Flandrii, Anglii czy Nadrenii. Jeśli zaś – biorąc pod uwagę skarby monet z X–XI wieku oraz efekty finansowania inwestycji

polegających na budowie państwa – uznamy, że we wcześniejszym średniowieczu wymiana handlowa była dla wschodniej Europy korzystna, to jednak wywóz niewolników jawi się jako główna forma uzyskiwania w dalekiej wymianie salda dodatniego. Jeśli ta hipoteza jest prawdziwa, to dodatkowo wyjaśnia konieczność tworzenia drużyn w nowych organizacjach państwowych, oddziałów mających na celu zdobywanie poza lupami i daninami także owego towaru stanowiącego warunek uzyskiwania środków na budowę nowego porządku społecznego.

Jak wiadomo, udało się Mieszkowi ten nowy porządek stworzyć i aktem chrztu go umocnić. Zapewne jego podwaliny położone były już wcześniej wraz ze stworzeniem drużyny – siły wykonawczej polańskiego księcia. Być może, jej genezę można z kolei wiązać z pojawieniem się różnych korzyści przynoszonych dzięki nowej koniunkturze handlowej. Wymiana prowadzona w poprzek całej Europy wymagała – jakbyśmy dziś powiedzieli – infrastruktury komunikacyjnej: w miarę stałych szlaków prowadzących do wygodnych przepraw przez rzeki i bagna, miejsc, w których można byłoby nabyć poszukiwane towary, uzupełnić swoje zapasy, w miarę bezpiecznie przenocować czy odpocząć. Nie ulega dziś wątpliwości, że wymiana towarów na znaczącą skalę na europejskim kontynencie miała odległe tradycje sięgające głębokiej starożytności. Już po upadku zachodniego cesarstwa rzymskiego powstawały nowe emporia handlowe na terenach odległych od Morza Śródziemnego, w delcie Renu, Mozy

i Skaldy (Ouentovik, Duurstede). Nowy impuls przyniosły czasy odbudowy Imperium Romanum przez Karola Wielkiego. Warto przypomnieć tu pogląd Henriego Pirenne'a, który zwrócił uwagę na znaczenie powstawania w tym czasie wielkiego świata islamu, stanowiącego bogatego odbiorcę tych walorów, które Europa mogła mu ofiarować, przede wszystkim ludzi. Penetracja ziem „barbarzyńskich” przez kupców z państwa karońskiego zaczęła się na dużą skalę już w VIII wieku.

Kapitularz wydany w Diedenhofen z 805 roku wymienia dziewięć miejscowości, przez które wiodły na wschód, do ziem Słowian i Awarów, drogi kupieckie. Ich dalszy przebieg nie jest zbyt dobrze znany, ale ich liczba wskazuje, że już u progu IX wieku wymiana Zachodu ze Wschodem była rozwinięta. Niektóre z tych dróg zachowały znaczenie nieomal do dziś. Z grodu leżącego niedaleko Hamburga – Bardowiku – prowadził szlak przez Holsztyn do Wągrów i nad brzegi Bałtyku; z „Schlezla” można było dojechać do środka ziem Obodrytów; z Magdeburga – do Stodoran, Lubuszan, może nawet i Polan; z Forcheimu i z Bambergu – do Czech; z Ratyzbony i z Lorch były łatwe powiązania z krajami nad Dunajem.

Prawdziwa rewolucja w systemie komunikacyjnym Europy nastąpiła jednak nieco później, w okresie między połową IX i początkiem XI wieku. Była ona efektem działalności wikingów, których atutem była umiejętność żeglugi, zarówno po rzekach, jeziorach, jak i po morzach czy oceanach. Mieszkańcy Norwegii dopływali do Brytanii, Islandii, w końcu X wieku ich łodzie

przybiły do Grenlandii, a nawet osiągnęły brzegi Ameryki Północnej. Duńczycy dobrze znali też drogę do Anglii i wraz z innymi wikingami docierali do atrakcyjnych miejskich i klasztornych ośrodków państwa Karolingów. Normanowie osiedli w Anglii jeszcze w X wieku. Wypuszczali się na Morze Śródziemne, jednako w łupiąc katolickich mieszkańców ziem Zachodu, muzułmańskich w Hiszpanii czy prawosławnych w Europie Południowej i Wschodniej. Wydaje się jednak, że najwięcej w dziele przecierania nowych dróg przez Młodszą Europę uczynili wikingowie wywodzący się ze Szwecji, zwani Waregami (lub przez współczesnych – Rusią). Rekonstrukcja ich szlaków daje imponujący obraz. Wyruszając ze swych mateczników nad Bałtykiem – Birki w Szwecji, Haithabu w Szlezwiku, Ripen w Danii czy z Gotlandii – utrzymywali stałe kontakty z większą częścią Europy. Przede wszystkim osią ich działań był Bałtyk, nad którym rozkwitały ośrodki handlowe zapewne ożywiane właśnie przez stałe wizyty wikingów: jeszcze na początku IX wieku niezlokalizowana osada Reric została zniszczona przez Duńczyków, ale jej funkcje przejęło zapewne Haithabu; następnie słowiańska Stara Lubeka, Wolin (w XI wieku nazwany „największym miastem Europy”, co świadczy jednak bardziej o horyzontach kronikarza – Adama Bremeńskiego – niż o samym mieście). Dalszym etapem mogły być Kołobrzeg bogaty w sól eksplorowaną już od dłuższego czasu, Truso na pograniczu osadnictwa słowiańskiego i bałtyjskiego w rejonie dzisiejszego Elbląga, Wiskiauty w Sambii, Grobin jeszcze na ziemi

Bałtów i wreszcie – by pozostać tylko przy większych ośrodkach – po wpłynięciu na wody Zatoki Fińskiej i Newy Stara Ładoga. Stamtąd Waregowie poruszali się dwoma szlakami: jeden wiódł do Wołgi (przez założony Nowogród), przez ważny etap tzw. Wielki Bułgar, aż do Itlu przy ujściu tej rzeki do Morza Kaspijskiego. Drugi szlak prowadził z Nowogrodu nad Dniepr, by przez Kijów dotrzeć do Morza Czarnego i dalej – do Konstantynopola. Obie te wielkie drogi uzupełniane były przez wiele połączeń drugorzędnych. Jedno z nich biegło przez obszar dzisiejszej Polski. Szlak ten najpewniej zaczynał się w rejonie ujścia Wisły, może w Truso, następnie wzdłuż rzeki biegł aż do ujścia Narwi. Przekraczał Wkrę koło dzisiejszego Pomiechówka oraz Narew w okolicy Serocka, aby wzdłuż Bugu wieść dalej, przynajmniej aż do grodu Wołyń (dziś Gródek Nadbużański). Dalszy przebieg tego szlaku jest różnie rekonstruowany. Najprawdopodobniej skręcał na wschód przez Włodzimierz, omijając od południa bagna poleskie, łączył się w Kijowie z „drogą do Greków”. Innym możliwym wariantem była droga od Bugu do Dniestru i wzdłuż tej rzeki do Morza Czarnego. Podobnym skrótem był szlak odchodzący od Bałtyku u ujścia Dźwiny i z jej biegiem w górę rzeki kierujący się na południowy wschód, by dotrzeć do górnego Dniepru. Wszystkie te drogi w miarę możliwości biegły wodą, ale mogły (a niekiedy musiały) wykorzystywać też połączenia lądem. Czasem – wzdłuż Dniepru, Wołgi i Bugu – kiedy nie można było żeglować pod prąd, czasem na dłuższych odcinkach terenowych, chociażby

aby przejechać od Dźwiny do Dniepru, czasem wreszcie, by ominąć nieprzejezdne odcinki rzek, na przykład dnieprowe porohy. Podróże drogą wodną odbywano na łodziach, które według Konstantyna Porfirogenety były przenoszone na ramionach, kiedy trzeba było pokonywać niekiedy spore odcinki tras lądowych. Funkcjonowały jednak także długie szlaki biegnące w poprzek ziem Europy Środkowej i sięgające niekiedy daleko na wschód. Ten, który zaczynał się w Ratyzbonie, rozdwajał się. Jedna jego odnoga biegła przez Pragę, zapewne Kraków, może przeprawiając się przez Wisłę w Zawichoście i przez Bug w Wołyniu, do Kijowa; druga wykorzystywała wielką wodną arterię komunikacyjną prowadzącą do Morza Czarnego – Dunaj. W delcie tej rzeki rozwijał się jako jeden z głównych ośrodków handlowych owego czasu Perejasławiec, proponowany nawet przez księcia Świętosława na stołeczny gród Rusi. Jak głosi *Powieść minionych lat*: „Rzekł Świętosław do matki swojej i do bojarów swoich: »Nie lubo mi jest w Kijowie być, chcę żyć w Perejasławcu nad Dunajem, gdyż tam jest środek ziemi mojej, bowiem tam wszystkie dostatki schodzą się: od Greków złoto, pawołoki, wina i owoce rozliczne, z Czech zaś i z Węgier srebro i konie, z Rusi zaś skóra i wosk, miód i czeladź«”.

Trasy wikingów przecinały nie tylko Europę Wschodnią. Wyprawy z Haithabu wzdłuż wybrzeża Norwegii przez Kaupangę, wokół Przylądka Północnego docierały do Morza Białego. Istniały stałe połączenia Norwegii z Wyspami Owczymi, z Islandią, a od przełomu tysiącleci także z Grenlandią. Poza szlakami

morskimi wykorzystywane były także szlaki rzeczne, przede wszystkim Ren, którym wikingowie docierali przynajmniej do ujścia Menu. Regularnie odwiedzane były ziemie położone w delcie Renu, Mozy i Skaldy, dobrze znane były też dolne biegi Sekwany i Loary. Jeszcze w X wieku wyprawy wikingów penetrowały wybrzeża Półwyspu Pirenejskiego, wpływając na Morze Śródziemne. Wyłania się z tych kontaktów obraz obejmujący całą Europę. Warto ponadto podkreślić, że były to kontakty stałe, powtarzające się z dużą częstotliwością.

Interesujący opis, zapewne jednej z dłuższych podróży, daje Konstantyn Porfirogeneta około 950 roku: „Rusowie [Waregowie, wikingowie – H. S.] w porze zimowej przygotowują sprzęt – łodzie, maszty, wiosła na lesistych obszarach słowiańskich i rozpoczynają podróż po stopieniu lodów, w kwietniu spływając do dorzecza Dniepru. W czerwcu, wraz z towarami i niewolnikami ruszają na południe, by następnie w Wityczewie skupić się dla bezpieczeństwa w większe flotyle łodzi. Po dwóch, trzech dniach ruszają dalej i pokonują siedem trudnych zapór na Dnieprze zmuszani do walki z Pieczyngami, próbującymi zrabować ich towary. Kolejny postój odbywa się na wyspie zwanej »Święty Grzegorz«, na której Rusowie składają ofiary koło ogromnego dębu, po czym płyną do ujścia rzeki Seliny, skąd mają cztery dni drogi do otwartego morza. Na wybrzeżu odpoczywają około dwóch, trzech dni, następnie płyną do ujścia Dniepru. Po kolejnym odpoczynku ruszają dalej, by dotrzeć do ujścia Dunaju, skąd

wzdłuż wybrzeży Bułgarii, przez Kanopas, Konstancę, Warnę dopłynąć do Mesembrii, gdzie kończy się ich żegluga”. Powrotu Rusów Konstantyn już nie opisuje, stwierdza jednak, że „gdy nadchodzi listopad [Rusowie – H. S.] opuszczają Kijów i wyruszają [...] po terenach Sklawinii, Drewlan, Dregowiczów, Krywiczów i Siewierzan i innych Sklawów [...] Przebywają tam zimę [...] a w kwietniu, kiedy puszczą lody [...] wyruszają do Kijowa”.

Trudno wyliczyć dokładnie czas potrzebny na podróż z Kijowa do Nesebyru, tym bardziej że zależał on od wielu czynników: pogody, czasu przeznaczanego na odpoczynek czy na walki z Pieczyngami. Niemniej wydaje się, że podróż taka nie mogła trwać mniej niż sześć tygodni, a więc od czerwca do końca lipca czy początku sierpnia. Trasa wynosiła około 2 tysięcy km, można więc przypuszczać, że przeciętna szybkość podróżna wynosiła ponad 40 km dziennie. Biorąc pod uwagę ówczesne drogi, była to szybkość imponująca, tym bardziej że dotyczyła nie zagonów koczowników, a kupców wiozących swoje towary. Czy powrót był równie szybki? Można założyć, że po kilkunastodniowym wypoczynku Rusowie ruszali w drogę powrotną, która biegnąc pod prąd rzeki, musiała trwać dłużej. Mimo to byli oni z powrotem w Kijowie najpóźniej wczesną jesienią. Już z początkiem listopada kupcy ci wyruszali na rozległe ziemie Rusi, na których przebywali przez zimę, zdobywając potrzebne towary. Powracali do Kijowa dopiero wiosną. Ile czasu mogli w nim przebywać? Z wypraw na południe powracali nie wcześniej

niż w końcu września, połowie października. Trudniejsza żegluga pod prąd odbywała się chyba i z lżejszymi towarami, i bez konieczności organizowania konwojów niewolników. Niezależne od Konstantynopola źródła arabskie potwierdzają szybkie przemieszczanie się Waregów. Pisarz arabski Marwazi pisze o „Rusi”: „Są to bardzo silni ludzie [...] oni przemierzają pieszo odległe kraje, przepływają na statkach Morze Chazarskie, rabują statki, towary i płyną aż do Konstantynopola przez Morze Pontyjskie niebacznymi na różne niebezpieczeństwa [...] ich siła i mądrość jest sławna [...] jeśli mieliby konie i byli jeźdźcami byłiby wielką plagą dla ludzi”. Warto dodać, że wielu Waregów miało konie, służąc w drużynie naszego Mieszka czy węgierskich wodzów. Świadczą o tym także opisy walk książąt kijowskich z Pieczyngami, Bułgarami, Grekami.

Nie ma powodu, by wątpić w znaczenie bodźców zewnętrznych oddziałujących na przekształcenia ustrojowe, kulturalne i gospodarcze. Te ostatnie dawały szansę wzbogacenia się tym szybszego, im lepsza była organizacja wojskowa i handlowa, w rezultacie – państwowa.

Nie należy sądzić, że wiek X przynosił jednakowe zmiany na całym obszarze Nowej Europy. Inaczej nieco przebiegały wydarzenia w Skandynawii, której mieszkańcy – wikingowie – stali się zaczynem przemian, inaczej w Szwecji, w której nie było silnej grupy możnych, a jeszcze inaczej w Danii. Odmienne też budowali swą państwowość Węgrzy, osadzając się na terytorium wcześniejszego państwa Wielkich Moraw.

Być może drużynnicy Mieszka, a także Włodzimierza rekrutowali się z różnych stron i z różnych plemion, co mogło wpływać na odmienności ich państw. Ale niezależnie od tego właśnie w ciągu X wieku powstał człon Europy wprawdzie młodszej cywilizacyjnie, ale od tego czasu – jak obrazuje to ewangeliarz Ottona III – współstanowiącej o losach dziejowych całego kontynentu; człon składający się z państw podzielonych językami, obyczajami, historią, lecz połączonych nową religią i wspólnymi wartościami niesionymi przez chrześcijaństwo, zbliżonych do siebie także podobnym systemem społecznym i gospodarczym. Nie ulega bowiem wątpliwości, że przyjęcie nowej wiary ułatwiało kontakty handlowe, wprowadzało analogiczne zmiany w gospodarce wszystkich tych państw. Potrzebne były służby pracujące na rzecz Kościoła, potrzebny był sprzęt liturgiczny, sprowadzany ze starej Europy, potrzebne było mszalne wino. Choć na potrzeby dworu, książęcego i biskupiego, trzeba było zapewne sprowadzać wino z zagranicy. Rozwój organizacji kościelnej wiązał się z zapożyczanymi formami gospodarki, stymulował rozwój jej różnych gałęzi, między innymi uprawę miejscowej winorośli. Zatem chrzest Mieszka stanowił punkt zwrotny także w dziejach polskiej gospodarki.

Jeśli szukamy kolejnych etapów naszego łączenia się z Europą, ze wspólną kulturą opartą na wartościach wnoszonych przez chrześcijaństwo, to akt z 966 roku stanowił pierwszy i jeden z najważniejszych. Stał się także składnikiem naszego wspólnego życiorysu. Chrzest Mieszka I stanowi na pewno początek dziejów

wspólnoty Polaków. Od tego dopiero momentu inne więzi, szersze i węższe, rodzinne, plemienne, językowe, zaczęły być uzupełniane poczuciem przynależności do wspólnego państwa, z czasem wspólnego narodu i wspólnej wiary.

VIII. CHRZEST W DZIEJACH POLSKI

Czy mieszkańcy Polski w X wieku zdawali sobie sprawę z konsekwencji przyjęcia chrześcijaństwa przez swego władcę? Czy sam Mieszko dostrzegał skutki swej decyzji podjętej w 966 roku? Zapewne, jak zauważa Stanisław Bylina, przecież „musiał się liczyć z nieuniknioną konfrontacją słowiańskiego pogaństwa z chrześcijaństwem”? Jak dalece wpływał chrzest na dalsze dzieje społeczności nad Wartą, jakie skutki przynosić miał w bliższej i dalszej przyszłości? Nie potrafimy dokładnie odpowiedzieć na te pytania, warto jednak podjąć próbę rozważenia przynajmniej niektórych. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że na decyzję Mieszka wpłynęły przede wszystkim potrzeby polityczne. Wejście do grona chrześcijańskich władców Europy zaowocowało sojuszem z księciem Czech, z cesarzem rzymskim i ułatwiło księciu polańskiemu pokonanie plemion słowiańskich zagrażających mu dotarcie do Bałtyku. Ułatwiło też jemu i jego drużynie włączenie się do korzystnego handlu i uzyskania tym samym środków ułatwiających budowę państwa, o czym była już mowa powyżej. Chrzest stabilizował pozycję Mieszka, ułatwiał, czy wręcz umożliwiał kontakty dyplomatyczne przede wszystkim z władcą cesarstwa zachodniego, a także, co było niewątpliwie skutkiem znacznie donioślejszym, umacniał nowy ustrój. Wprowadzenie organizacji kościelnej pozwalało na integrację terytoriów plemiennych, dawało księciu ideologiczną podstawę działań zmierzających do budowy

państwa. Układy polityczne z 966 roku nie trwały zbyt długo, już w 20 lat po chrzcie nastąpiło odwrócenie przymierzy i podjęcie walki z Czechami o Śląsk, o ziemię krakowską. Bez porównania większe znaczenie dla dziejów Polski miały kulturalne skutki przyjęcia chrześcijaństwa. Powstanie wspólnej, acz na pewno powierzchownej ideologii, było nie tylko dokonaniem rodu panującego, lecz także Kościoła, co poświadczają tradycje dotyczące dziejów św. Wojciecha, św. Brunona, Pięciu Braci Męczenników. Od dnia chrztu można mówić o początku chrześcijańskiej historii Polski, rozumianej jako terytorialne władztwo ponadplemienne. Od tej też chwili narastały stopniowo, z oporami ludności, obyczaje, które tworzyły sposób życia wyznaczający z czasem tożsamość zbiorową Polaków.

Czy Mieszko miał alternatywę – tak jak ponoć miał na Rusi Włodzimierz Wielki – przy wyborze nowej religii? Nie ulega wątpliwości, że ani judaizm, ani islam nie były dla niego do przyjęcia. Nie ułatwiały kontaktów z sąsiadami, mogły jedynie antagonizować stosunki z nimi. W grę wchodził obrządek wschodni. Pozornie mogłoby się wydawać, że za prawosławiem przemawiały wspaniałe tradycje cesarskiego Konstantynopola, piękno jego obrządków kościelnych, jakoś i wielkość budowli, atrakcyjność pozycji władzy. Nie ulega wątpliwości, że dla krzewienia nowej wiary, nowego porządku społecznego korzystniejsze było wprowadzenie własnego pisma, korzystanie z tekstów liturgicznych powszechnie zrozumiałych. Wybór rzymskiej obediencji był jednak po prostu efektem potrzeb poli-

tycznych. Bliskość cesarza Zachodu, rywalizacja z Samsami o Pomorze, przymierze zawierane z Czechami zdecydowały o związkach z Rzymem.

Można zastanawiać się nad skutkami tego wyboru, które prowadziły do ustrojowego modelu „europejskiego”: pluralizmu władzy (cesarza czy papieża!), kształtowania monarchii stanowej, parlamentaryzmu, samorządów terytorialnych i – w rezultacie – podstaw społeczeństwa obywatelskiego. Była o tym już mowa. Warto tu jednak powtórzyć pytanie Maxa Webera postawione w jego rozważaniach o socjologii religii: „Dlaczego właśnie na terenie Zachodu [Europy] i tylko tam powstały formy kultury, które [...] doprowadziły w swym rozwoju do systemu uniwersalnego [...]?”. Uniwersalnego, bo niezależnie od tego, czy się to komuś podoba, czy nie podoba, tworzącego postulowany model życia w znaczącej części świata. Warunkiem jego powstawania były kontakty między różnymi ludami. Przemysław Urbańczyk słusznie pisze, że w Europie „nie było państwa, w którym mieszkańcy mogli się komunikować w jednym języku [...] Nie była to Europa narodów świadczących o swej odrębności [...] była to Europa państw [...], których granice były osmotyczne [...]”.

Ten obraz pasuje też do nowo budowanego państwa polskiego. Do czasu chrztu nasze ziemie leżały w obrębie rozległej wspólnoty, stanowiły pogranicze między zachodnią i wschodnią Słowiańszczyzną, stykały się z terenami zamieszkanymi przez Bałtów, miały kontakty z ludami skandynawskimi. Po wejściu do

wspólnoty chrześcijańskiej Polska znalazła się na krańcach świata zachodu Europy. Niezależnie od prób odgrywania znaczącej roli w jej polityce – w czasach Bolesławów: Chrobrego, Śmiałego, Krzywoustego – stanowiła aż do drugiej połowy XIV wieku peryferię, niekiedy bardzo odległą, centralnych ośrodków ówczesnej kultury, gospodarki i polityki. Peryferia oznacza jednak niekiedy pogranicze różnych stref cywilizacji. Dzięki temu na jej obszarze mogą się rozwijać szerokie kontakty międzyludzkie, mogą powstawać nowe, twórcze i oryginalne formy życia społecznego.

Polska była peryferią ubogą – w ludzi, w skarby natury. Ale cały świat Europy Zachodniej był też ubogi w porównaniu z bizantyjskim Wschodem, krajami islamu, nie mówiąc już o państwach wschodniej Azji. Potrafił mimo to szybko się rozwijać, tworzyć nowe sposoby życia. Być może, właśnie ubóstwo prowadzi do konieczności poszukiwania nowych sposobów życia. Szczególnie intensywnie może to mieć miejsce właśnie na tych peryferiach, które nie są „końcem” jakiegoś cywilizacyjnego świata, lecz stanowią łącznik z innymi kręgami kultury. Można zapewne dostrzegać podobne procesy w Polsce. W X wieku przyjęła chrześcijaństwo, a od XIII adaptowała na swe potrzeby samorządy terytorialne. Bliskość kultury Wschodu umożliwiła jeszcze w średniowieczu powstanie oryginalnego modelu kultury zwanej sarmacką. Kultury łączącej obyczaj Wschodu, Zachodu i Południa, tworzącej niespotykane (aż do czasów jednoczącej się dziś Europy) formy koegzystencji wielu języków, praw, wyznań, nawet religii

– Rzeczypospolitej Obojga Narodów, państwa, w którym aż do czasów klęsk XVII wieku i degeneracji ustrojowej powstawały znakomite formy parlamentaryzmu i samorządności. Obszaru, na którym gotyckie kościoły (jak w Lublinie, Sandomierzu, Krakowie) zdobiono bizantyjskimi freskami, gdzie minarety muzułmańskie ozdobiono figurami NMP (jak w Kamieńcu Podolskim). Państwa, w którym, aby wyróżnić swych żołnierzy od wrogich, tureckich, trzeba było (jak pod Wiedniem) obwiązywać ich ramiona słomą.

Przyjęcie chrześcijaństwa stanowiło opowiadanie się za ideologią uniwersalną. Może warto dlatego zastanowić się nad utrwalonym od pokoleń poglądem, że przyjęliśmy chrześcijaństwo od Czechów. Jak każdy mit historyczny wyraża on pragnienie, co i raz odżywiający w naszych dziejach, aby nie dowartościowywać Niemców. Jest on jednak chyba oparty na nieporozumieniu. To prawda, że znaczenie księżniczki czeskiej w dziele nawracania Mieszka podkreślał już współczesny wydarzeniom Thietmar, a także pisał o tym nasz Anonim Gall. Ale nie wiemy dokładnie, skąd pochodził biskup Jordan (z Lotaryngii?, z Wioch?). Chrześcijaństwo w Czechach – prawda, że znacznie wcześniej tam zaszczerpione – nie było jednak tak silne, by móc nadmiernie ekspandować za granicą. Rzeczywiście, zapewne Kraków i Wrocław były chrystianizowane przy udziale duchownych czeskich czy morawskich, ale generalnie rzecz ujmując (i nie umniejszając roli kobiet w dziele cywilizowania ludzkości), Kościół był i wówczas organizacją powszechną, uniwersalną. Biskup Un-

ger był Niemcem, biskup Wojciech – Czechem, jego żywociarze zaś wywodzili się z różnych krajów. Największe osiągnięcie syna Mieszkowego, Bolesława, stanowiło doprowadzenie do powstania metropolii. Decydowali o tym papież, cesarz, liczni członkowie episkopatu Europy, głównie z Niemiec, z Włoch, także z innych krajów. (Nie ma powodu, by w ten sposób zwalczać swe kompleksy wobec Niemców, tym bardziej że są znakomite przykłady dziejowe nadające się lepiej do tego celu. Najlepszym bodaj z nich będzie masowa polonizacja kilkuset tysięcy osadników niemieckich nie tylko w czasach wielkości Rzeczypospolitej Obojga Narodów, ale także – co stanowi fenomen niespotykany w dziejach – w czasach utraty naszego bytu państwowego).

Chrzest Mieszka, jak już była mowa, rozpoczął długi proces tworzenia wspólnoty złączonej wiarą chrześcijańską. Trwał on bardzo długo. Jeszcze w XV wieku Jan Długosz skarżył się na „pogańskie” zwyczaje ludu wiejskiego; zabobony, praktyki magiczne, wiara w upiory, wiły trwały przez wiele wieków (może nawet trwają nadal). Nie można pominąć także praktyk niekiedy trwających do dziś, w kulturze, gospodarce, które nie są spójne z zasadami chrześcijaństwa. Panuje więc przekonanie, że wszelkim, osobistym i zbiorowym, nieszczęściom winni są źli obcy, na pierwszym miejscu Żydzi. Pamiętamy też krzywdy wyrządzane przez Rosjan, Ukraińców, Niemców (nieco zapominamy o Mongołach, Szwedach, Turkach). Ksenofobia w Polsce nie istnieje od dziś, pojawiała się każdorazowo w czasach

upokorzeń, nieszczęść narodowych, od XIV wieku, kiedy to po Polsce zaczynał jeździć „niemiecki diabeł w weneckiej karecie”.

W polskim społeczeństwie wiejskim, bardziej zamkniętym, obyczaj chrześcijański rozprzestrzeniał się wolno. Miast – większych skupisk ludności – mieliśmy niewiele. Dominowała ludność chłopska, także liczna w Polsce szlachta zaściankowa czy średniozamożna. Przyjmowanie przez nią nowego obyczaju można widzieć przez pryzmat zmian w budownictwie kościelnym, zakonnym, świeckim, niejako wyznaczającym etapy uznawania wiary chrześcijańskiej za swoją. W czasach Mieszka symbolem nowej religii była kaplica pałacowa, taka jaką znamy z Poznania, z Lednicy czy z Krakowa. Służyła ona władcy wraz z nielicznym otoczeniem. W drugiej monarchii kościół był wyznacznikiem wyższego statusu społecznego. Moźni budowali świątynie, w których rezerwowali dla siebie zaszczytne, honorowe miejsce. Znamy blisko setkę owych romańskich kościołów – z okresu XI–XII wieku – na emporach których zasiadali fundatorzy wraz z rodzinami. Z tego też czasu pochodzą świątynie zgromadzeń mniszych i kanonickich – w Tyńcu, Mogilnie, Lublinie, rozległa sieć zakonnych kościołów cysterskich w Jędrzejowie, Koprzywnicy, Mogile, Lubiążu, Henrykowie. Prawdziwą rewolucją było pojawienie się w Europie zakonów zebrzących: franciszkanów, dominikanów, których członkowie wchodzili w bezpośrednie kontakty z mieszkańcami, głównie miast. W polskich warunkach jednak te miasta, miasteczka raczej, sytuowane były na

pograniczu wiejskim. Oczywiście były ośrodki większe – Kraków, Sandomierz, Płock, Gdańsk – ale dominowały jednak w polskim krajobrazie osady rolnicze, z mieszkańcami których zakony żebrzące także utrzymywały kontakty. Im zawdzięczać można wprowadzenie do obyczaju powszechnego polskich pieśni kościelnych i modlitw, a do wiedzy potocznej żywotów świętych. W tych także czasach powstała powszechniej znana wersja dziejów Polski napisana piórem żywociarza św. Stanisława – Wincentego z Kielczy.

Zakończenie procesu chrystianizacji całej ludności wiązało się z rozwojem sieci parafialnych. Trwał on długo, począwszy od XIII wieku, a kończąc dopiero na przełomie średniowiecza i czasów nowożytnych. Drewniane na ogół kościółki pokrywające ziemie polskie stanowiły ośrodki szczególne. Wyznaczały miejsca wspólnego życia mieszkańców parafii. Oczywiście służyły jako miejsca przekazujące nauki Kościoła. Ale tworzyły także powszechną sieć podstawowego kształcenia. Pod koniec średniowiecza w około 4 tysiącach parafii archidiecezji gnieźnieńskiej istniały ponad 3 tysiące szkół, w których miejscowi „rektorzy” nauczali młodych mieszkańców parafii. Trudno ocenić i poziom kształcenia, i zakres przekazywanej wiedzy. Na pewno uczono młodzież katechizmu, służby podczas nabożeństw, śpiewu kościelnego, kalendarza świąt. Przy okazji młodzi ludzie nabywali umiejętności liczenia, musieli nieco się osłuchać w łacinie. Mogli też poznawać litery, niekiedy uczyli się czytać i pisać. Oczywiście nie wszystkie szkoły parafialne reprezentowały ten

sam poziom. Obok słabych czy bardzo słabych placówek istniały szkoły na wysokim poziomie, niekiedy nawet dające podstawy nauczania *trivium*, wstępu do ogólnej wiedzy. Z tych szkół wywodzili się w XV wieku liczni adepci Wszechnicy Krakowskiej, odnowionego Uniwersytetu, do którego przybywali, by pobierać dalsze nauki umożliwiające karierę życiową w kancelariach, na dworach, w Kościele. Wraz z rosnącym wykształceniem ludności przekazywana nauka była coraz bardziej komentowana, a jej treści interpretowane „po swojemu”. (Znana jest sprawa toczona w XV wieku przed sądem biskupim w Płocku przeciwko mieszczaninowi z Łomży, który krytykował treści kazań miejscowego proboszcza, zarzucając mu nieznajomość Ewangelii).

Kościół parafialny pełnił także inne ważne funkcje. Można powiedzieć, że stanowił podstawowe ośrodki przekazywania wiadomości: podczas nabożeństw czytano listy królewskie, uchwały sejmikowe, przekazywano wieści z wielkiego świata o toczonych wojnach, o groźbie herezji, o narodzinach potomka królewskiego. Można by powiedzieć, że stanowił podstawowe źródło przekazu informacji, niejako okno na świat przybliżające (tak jak dzisiejsze media) wiedzę o różnych wydarzeniach zachodzących w czasie i w przestrzeni.

Parafie utrzymywały porządek przestrzenny kraju, tworzyły stabilne „małe ojczyzny” dla większości mieszkańców Polski. Przez blisko pół tysiąca lat – XV–XX wieku – liczba parafii w archidiecezji gnieźnień-

skiej pozostawała niemal niezmienna. Ich trwałość wzmacniała lokalne więzi społeczne. Zyskiwały prestiż miejscowe „rody kolatorskie” dominujące w polityce i gospodarce, opiekujące się miejscowym kościołem. Powstawały bractwa kościelne, integrujące różne grupy mieszkańców, cechy rzemieślnicze. Cotygodniowe nabożeństwa, a także większe święta kościelne pozwalały na regularne kontakty między ludźmi, procesje ustawiane według określonej hierarchii stawały się zaś odbiciem istniejącego porządku społecznego uznawanego za własny. Naruszany on bywał w dobie klęsk spadających na Polskę w XVII i XVIII wieku. Ich sprawcami najbardziej widocznymi, dotkliwymi byli ci „inni”: prawosławni Rosjanie i Ukraińcy, muzułmańscy Turcy, protestanczy Szwedzi i Niemcy. Obrona dotychczasowego stanu rzeczy, ukształtowanego w dawniejszych stuleciach, stała się walką o tożsamość wyznaniową i jednocześnie narodową.

Chrzest Mieszka zapoczątkował bowiem kolejne dwa procesy dziejowe: tworzenia państwa i tworzenia narodu. Oczywiście państwo tworzone przez pierwszych Piastów nie miało wiele wspólnych cech z tymi, które obecnie definiują tę formę wspólnoty politycznej. Tak zwana pierwsza monarchia stanowiła władztwo księcia (władztwo wodzowskie – jak nazywają je badacze), stanowiąc jego własność. Jej beneficjentami byli współrodowcy panującego, zapewne druzynnicy, przede wszystkim rekrutujący się spośród tych przywódców lokalnych wspólnot, którzy opowiedzieli się za powstającą władzą. W definicji tego państwa już wówczas

mieściły się podstawowe człony dotyczące władcy i terytorium, z czasem też nazwy własnej. Stanowiły one istotny składnik samookreślenia się wspólnoty państwowej w następnych stuleciach. Stałą konsekwencją chronologicznego ciągu zdarzeń były imiona kolejnych władców. Tak było u początków istnień państw – tych starożytnych (w Egipcie, Persji, Chinach), tak jak i później, w czasach średniowiecznych i nowożytnych. Podobnie jest dzisiaj, kiedy pisze się lub mówi o czasach określanych imionami przywódców. Tak widziana historia Polski zaczyna się w czasie Mieszka I.

Żadna formacja polityczna nie może istnieć bez poparcia grupy zainteresowanej w jej utrzymaniu. Pierwsza monarchia stawała się uciążliwa dla większości swych mieszkańców wraz z narastaniem obciążeń fiskalnych, z prowadzonymi nieszczęśliwie wojnami, z niedowartościowaniem starych i nowych elit społecznych. Bardzo burzliwe i dramatyczne było, po kryzysie z pierwszej połowy XI wieku, przejście do innego ustroju państwa. Musiało ono zabezpieczyć interesy możliwych, których znaczenie polegało nie tylko na uzyskiwaniu korzyści ze sprawowanej władzy, ale także na posiadaniu majątkowości ziemskich. Nie dobra ruchome, łupy, niewolnicy, stadniny, skarby pieniężne zaczęły decydować o majątkowej pozycji człowieka, a posiadłości ziemskie, liczba ludzi zależnych w ten czy inny sposób zmuszana do pracy na roli właściciela. Owi właściciele – możnowładcy, wywodzący się częściowo z dawniejszych epok – w coraz większym stopniu zaczęli stanowić pierwotną formę „narodu politycznego”,

wspólnoty współdecydującej o losach państwa. Nasz pierwszy rodzimy kronikarz, Mistrz Wincenty, w swym dziele dwukrotnie opisywał elekcje władców. Po raz pierwszy, kiedy to jakoby wspólnota Słowian wybrała w Karantanii Kraka na swego władcę, i po raz drugi – podczas gorącej dyskusji, już w czasach współczesnych piszącemu, między zwolennikami Mieszka III i Leszka Białego. Państwo przestało być wyłączną własnością panującego, stało się instytucją, w której ważny, niekiedy decydujący głos miały grona możnowładcze, uzyskujące coraz szersze uprawnienia dla siebie, skutecznie wysuwając swe żądania, postulaty wobec panującego.

Pozornie mogłoby się wydawać, że czasy rozbitcia dzielnicowego zahamowały procesy kształtowania się państwa polskiego. Nie jest to pogląd do końca słuszny. Rzeczywiście, na dłuższy czas zniknęła władza centralna, utracone zostały przez książąt piastowskich różne ziemie pograniczne, zagrożona władza rodzimej dynastii. Jednocześnie jednak w każdej dzielnicy kształtowały się miejscowe elity, grupy ludzi współdecydujących o działaniach gospodarczych i politycznych. W literaturze przedmiotu występują dwa określenia formy ustrojowej powstającej wraz z odbudową zjednoczonego państwa: „monarchia stanowa” i „Korona Królestwa”. Pierwsze może budzić niejakie wątpliwości z dwóch powodów. Pierwszy wiąże się z faktem, że aż do XV wieku przechodzenie z jednej grupy prawnej do drugiej było zjawiskiem powszechnym i to nie przynależność stanowa określała miejsce człowieka

w społeczeństwie. Drugi powód wynika z wątpliwości dotyczących definicji pojęcia „stan”. Nie każda grupa prawna może być tak nazywana, trudno „przedmieszczan”, „zagrodników”, „przypisańców” (chłopów przypisanych do ziemi) nazwać stanem. Nawet niższe rycerstwo (włodyków) historycy wolą definiować określeniem „kondycji prawnej”. Stanem w pełnym tego słowa znaczeniu można nazwać grupę prawną posiadającą swoje przedstawicielstwo – sejmik, zgromadzenie stanowe, izbę w parlamencie. Oczywiście i w Polsce istniały także jeszcze przed statutami nieszawskimi z 1454 roku przedstawicielstwa – możnowładców, delegatów rycerstwa z poszczególnych ziem, władz miejskich. Te ostatnie jednak nie reprezentowały mieszkańców wszystkich miast, których prawa i obowiązki znacznie się różniły (wyjątkiem były tu Prusy Królewskie). O wspólnym przedstawicielstwie chłopów oczywiście w ogóle nie można mówić. Antoni Gąsiorowski nazwał formę ustrojową Polski owego czasu „monarchią nierównoprawnych stanów”, które to określenie rzeczywiście oddaje częściowo skomplikowany ustrój społeczny sprzed połowy XV wieku.

Drugie określenie państwa polskiego wydaje się bardziej precyzyjne. „Korona Królestwa” oznacza formę ustrojową znaną także w innych państwach europejskich. Definiuje ją już nie tylko osoba suwerennego władcy, ale także określone terytorium, prawa i przywileje mieszkańców ze szczególnym uwzględnieniem grup mających istotny wpływ na rządy w państwie.

Kolejny etap formy ustrojowej przybrał po unii w Lublinie w XVI wieku kształt Rzeczypospolitej Obojga Narodów stanowiącej przykład tzw. demokracji szlacheckiej, wzorca ustrojowej alternatywy wobec absolutyzmu rozwijającego się w państwach ościennych. Był to wzorzec, który w okresie sprzed swego zwyrodnienia w XVII wieku wyprzedzał idee zjednoczonej Europy o 400 lat. Mimo istnienia odmiennych kształtów ustrojowych w dziejach państwa polskiego można dostrzec linię ciągłą jego rozwoju rozpoczynającą się w połowie X wieku. W pojęciu „państwo” mieści się określone terytorium. W czasach Mieszka I z pewnością nie było ono jednolite i, jak była już o tym mowa, składało się poza ziemią gnieźnieńską także z pertynencji, terenów zależnych od księcia, korzystającego z różnych świadczeń ludności zamieszkującej na ich obszarach. Druga monarchia ustaliła obszary, które stały się trwałym rdzeniem Polski. Stworzyła także stabilną wewnętrzną organizację terytorialną. Założone lub rozbudowane grody do dziś wyznaczają centralne ośrodki polskich dzielnic. Poznań, Sandomierz, Kraków, Wrocław, Płock uzyskały trwałe miejsce w organizacji terytorialnej Polski. Oczywiście, zmianom uległy i granice prowincji, i pełnione funkcje przez ich stołeczne miasta, ale – niezależnie od najróżniejszych przemian politycznych i ustrojowych – od czasów najdawniejszych, od schyłku panowania Mieszka I, nasz kraj składa się z Wielko- i Małopolski, Śląska, Mazowsza i Pomorza.

Jak wiadomo, różne były ich losy, podobnie ich ziem sąsiednich. Tak zwane Grody Czerwieńskie, Łużyce, Milsko, Czechy, Słowacja bywały na krótko i okazjonalnie włączane do władztwa Piastów. Odpadło od niego Pomorze (przynajmniej Nadodrzańskie), u schyłku pierwszego państwa Śląsk został zajęty przez Czechów, usamodzielniało się Mazowsze. Twór polityczny powstały po 966 roku stał się jednak na tyle trwałe, że pojęcie o jego zasięgu terytorialnym pozostało na dobre w świadomości znacznej części jego mieszkańców. Wielko- i Małopolska (ta druga wraz z ziemią sandomierską), Mazowsze, Śląsk i Pomorze Nadwiślańskie, niezależnie od różnych perypetii politycznych, widziane były jako „piastowskie dziedzictwo”, przynależne władcom Polski. Bardzo wyraźnie ukazują tę świadomość zeznania świadków w procesach politycznych XIV wieku toczonych z Krzyżakami o Pomorze, a także starania królów Polski o odzyskanie władzy nad częścią ziem Śląska.

Ten stan rzeczy uległ istotnym przekształceniom dopiero od XIV wieku. Zmiany terytorialne, które zaszły w wyniku inkorporacji Rusi, unii z Litwą, stworzyły inną wizję „ziem polskich”, odżywiająca częściowo w kształcie terytorialnym II Rzeczypospolitej i do dziś obecną w tradycji i sentymentach Polaków.

Czy wraz z chrztem Mieszka pojawił się polski naród? Definicja wspólnoty narodowej nie jest prosta, być może dlatego, że musi być odmienna w różnych okresach czasu. Nie ma żadnych podstaw pogląd, że w dobie plemienną istniała więź, którą można w dzisiej-

szych kategoriach nazwać „narodową”. Czymże jest bowiem „naród”? Można przyjąć, że wspólnotą opartą na paru podstawowych wyznacznikach, do których należą wspólny język (ale nie zawsze), wspólna ziemia (też nie zawsze, jak ma to miejsce w przypadkach ludów koczowniczych), wspólna kultura i wspólna pamięć o swojej przynależności, czyli historia. Trudno jednak mówić o „narodzie słowiańskim”, mającym wspólny język w odległych wiekach, zamieszkującym zapewne podobne środowisko naturalne, prowadzącym – do czasu – podobne formy gospodarki. Być może, Słowianie posiadali podobne (jednolite?) wierzenia i obrzędy, ale niestety niewiele wiemy na ten temat. Jeszcze trudniej jest dostrzec istnienie wspólnej pamięci o minionych wydarzeniach. Być może, acz podawane jest to przypuszczenie w wątpliwość, jakieś echa przeszłości zawarte są w najstarszych relacjach kronikarskich, w niejasnych wzmiankach u pisarzy arabskich i już z czasów późniejszych, o mniej lub bardziej odległych przodkach. Można przyjąć tezę, że podstawowe więzi pamięci łączące poddanych Mieszka dotyczyły powiązań rodzinnych, które decydowały o miejscu człowieka w społeczeństwie, o jego majątku, o grupie, w której współuczestniczył. Rodzina, czyli ludzie „jednej krwi”, jak brzmiały formuły zeznań świadków przed sądami ziemskimi z końca średniowiecza, była taką właśnie grupą, ale z jej określeniem też bywa kłopot. Język polski zachował aż do XVII wieku ponad 40 określeń dotyczących pokrewieństwa i powinowactwa. Bardzo precyzyjnie odróżniał „teściową” od „świekry”,

na ogólnikowego „szwagra” stosował aż trzy różne określenia („jątrew”, „świeć”, „zełwa”). Jeśli te terminy pozostawały w użyciu, to znaczy, że były potrzebne, określały istotną, ważną wspólnotę. Istniała jednak inna – ród, wyróżniany zawołaniem i herbem. Stanowił on grupę wspólnych interesów gospodarczych i politycznych, na pewno funkcjonującą już od XII wieku. Przywódcy rodów otaczali się klientelą korzystającą z ich opieki, stanowiącą grupę wspierającą ich w różnych działaniach. Według Janusza Bieniaka te rodowe wspólnoty wywodziły się rzeczywiście z wcześniejszych powiązań krewniaczych. Antoni Gąsiorowski z kolei zwrócił uwagę, że stanowiły one także formę porządku społecznego, niejako ówczesnych „partii politycznych”. Nie zmienia to oczywiście faktu, że rody nie mogą być widziane jako kategoria społeczna opierająca się na więzi narodowej.

Przed powstaniem państwa na pewno istotną formą wspólnoty były plemiona. Nic prawie nie wiemy o plemiennej pamięci zbiorowej. Można jednak przyjąć, że integrującymi je czynnikami były podobne warunki, w jakich żyły (Drewlanie w lasach, Polanie na leśnych polanach), obszary ziemi (Wiślanie nad Wisłą, Bużanie nad Bugiem), wspólne instytucje władzy (wiec, rada starszych, przywódcy na czas wojny) i, być może, wspólne wierzenia. Trudno przyjąć tezę, że istnieli jako narody Lędzianie, Trzebowianie, Gołęszyce – wymieniani w opisie ziem dzisiejszej Polski przez tzw. Geografa Bawarskiego z IX wieku. Nową formą wspólnoty natomiast, na pewno powstałej w epoce chrztu, było

państwo, owo władztwo książęce, którego istnienie wymagało i szczególnego sposobu zarządzania, i nowego porządku społecznego, a którego pamięć opierała się na wykazach kolejnych władców. Czy więc państwowa powodowała powstawanie wspólnoty narodowej? Zapewne sprzyjała jej narodzinom, odgrywała istotną rolę w jej kształtowaniu, ale można mieć poważne wątpliwości, czy w czasach Mieszka można już mówić o „narodzie”, którym władał. Być może, miał rację Henryk Łowmiański, kiedy pisał o powstawaniu naszej (narodowej?) świadomości formującej się podczas wojen Mieszka i Chrobrego, przede wszystkim tych obronnych, prowadzonych wspólnie przez członków różnych plemion z Niemcami, Czechami, Rusinami. Obrona ziemi, własności zapewne cementowała poczucie tożsamości zbiorowej. Kombatanckie wspomnienia z czasów obrony Niemczy, forsowania Bugu czy walk o dotarcie do Bałtyku mogły rzeczywiście tworzyć wspólną pamięć „międzyplemienną”, kształtować poczucie dumy z wygranych bitew, żądze odwetu za przegrane batalie. Czy jednak wystarczały do powstania „narodu”? Można w to poważnie wątpić.

Czy bowiem w czasach Mieszka byli ludzie, którzy uważali się za Polaków? Pytanie jest nieco podchwytliwe, jako że aż do wczesnej nowożytności terminy „Polak”, „Polacy” miały podwójne znaczenie, oznaczając bądź Wielkopolanina, bądź mieszkańca Królestwa Polskiego. W tym drugim znaczeniu wydaje się, że odpowiedź musi być negatywna. Od biedy można by przypuścić, że za „Polaka”, w sensie szerszym, mógł

się uważać sam Mieszko, może bliscy mu dostojnicy. Jeśli nawet tak było – co wydaje się mało prawdopodobne – to w hierarchii więzi społecznych to poczucie zajmować musiało bardzo odległe miejsce.

Chyba pojawiło się ono dopiero w czasach, gdy zagrożony był „polski” obyczaj prawny, gdy mogła być usunięta od tronu „polska” dynastia panów przyrodzonych. Wówczas wyłoniła się świadomość, którą można nazwać narodową, gdy mieszkańcy Polski poczuli się zagrożeni w swym życiu, w swych przywilejach przez przybyszów innego języka i innego prawa (ukazał to niedawno Benedykt Zientara). W sposób dobrze poświadczony źródłowo miało to miejsce w XIII wieku, kiedy to istniała groźba ztratny własnego, polskiego języka, gdy tron gnieźnieński obejmowała czeska dynastia, gdy książęta piastowscy i ich rycerze upokarzani byli przez obcych. Zapewne nie dlatego obcych, bo Czechów, tylko dlatego, że odsuwali oni od władzy i różnych korzyści miejscowych możliwych. Reasumując te wywody, można stwierdzić, że bez stworzenia państwa, stabilnej organizacji politycznej ukształtowanie narodu w jego pierwotnym kształcie obejmującym tylko część elit społecznych byłoby zapewne niemożliwe. Wzmocnienie państwa polskiego, z czasem nasycanego mieszkańcami Rusi, przybyszami z Niemiec, Mołdawii, osadnikami żydowskimi, ormiańskimi, zmieniało nieco ten stan rzeczy. Jeszcze wspomnienie grunwaldzkiej wiktoryi łączyło społeczeństwo polskie, jego wyższe warstwy niezależnie od przynależności.

Wydaje się, że od przełomu XV i XVI wieku podstawową formą więzi zbiorowej, niezależnie od używanego języka, od tradycji historycznej, stał się udział w stanie szlacheckim. Był on określany przez zespół praw i przywilejów, jego znak rozpoznawczy stanowiły na ogół bajeczna przeszłość rodów szlacheckich oraz łacina – język używany przez warstwy wyższe. Ten stan rzeczy miał się zmienić w czasach klęsk ponoszonych od połowy XVII wieku i – ponownie – szczególnie wówczas, gdy według wielu badaczy powstał nowożytny naród, a więc w dobie rozbiorów. Wtedy wielu (jeszcze nie wszystkich) mieszkańców kraju krzepiła wiara, że „jeszcze Polska nie umarła, kiedy my żyjemy”. „My”, Polacy tworzący wspólnotę, zastępującą przez lata niewoli własne państwo i jego instytucje, kiedy pokrzepiano się słowami Stanisława Staszica, że „upaść może naród wielki, ale zginąć tylko nikczemny”. W świadomości wielu przynależność do „polskiego rodu” dawała poczucie własnej wartości i w kraju, i poza jego granicami. Człowiek jest bowiem istotą, która dobrze się czuje, należąc do różnych wspólnot: rodzinnej, terytorialnej, językowej, państwowej, narodowej, a także wspólnot uniwersalnych, wiary, ideologii. Wspólnota narodowa w latach niewoli stanowiła dla Polaków więź podstawową, nie sposób nie docenić jej także dzisiaj. Biorąc jednak pod uwagę ciąg wieków, należy zauważyć, że świadomość przynależności narodowej narodziła się – w swej początkowej formie – w średniowieczu. Wzrastała ona, gdy istniały zagrożenia naszej tożsamości, które podważały wartość nas

samych i naszej zbiorowości. Nie tylko poczucie przynależności do narodu – z politycznych względów nieco zmistyfikowanego – określało nam miejsce w świecie. Odgrywało ono jednak w naszych dziejach rolę szczególną. Nie można sądzić, że narodziło się ono w czasach chrztu Polski, ale akt ten umożliwił jego późniejszy rozwój.

Nie ma wspólnoty ludzkiej bez norm określających jej działania i bez własnej historii. Prawo polskie, pierwotnie stanowiące zbiór znanych i uznawanych powszechnie obyczajów, z czasem, od XIII wieku, w coraz szerszej mierze spisywane, stosunkowo szybko rozprzestrzeniło się na całe władztwo Piastów. Wiadomo, że przyjmowane było już w XII wieku na Śląsku, do niedawna przecież czeskim, stanowiło alternatywę porządku publicznego w Prusach Krzyżackich, konkurowało z prawem niemieckim przy zakładaniu samorządnych miast (jak wskazuje na to lokacja Płocka z 1236 roku). Polski obyczaj, „stary” obyczaj, stanowił fundament, na który nakładane były późniejsze normy życia publicznego wzbogacane prawem kościelnym, prawem rzymskim i importami z Zachodu i Wschodu. Aż do rozbiorów wszystkie konstytucje Rzeczypospolitej powoływały się na ustawodawstwa sięgające statutów Kazimierza Wielkiego. Genezy tych ostatnich można się doszukiwać w ustawodawstwie znanym z XIII wieku – przywilejach i postanowieniach nadawanych przez Leszka Białego, Władysława Odonica, Kazimierza Kujawskiego, Wacława II Czeskiego. Z kolei wiele z nich odwoływało się do „starych” praw, być może

i obyczajów. Niektóre z nich, na przykład dotyczące dziedziczenia majątku, sięgały czasów Mieszka czy jeszcze dawniejszych, plemiennych. Niewielkie różnice międzydzielnicowe nie zmieniały faktu, że od czasów powstania państwa polskiego wspólne prawo łączyło wszystkich jego mieszkańców.

Łączyła też wspólna historia, acz różne meandry życia politycznego tworzyły jej odmienne nurty. Nic lub prawie nic nie wiemy o przekazach ustnych. W dziejach pisanych uwzględniano przede wszystkim kroniki działań panujących, żywoty świętych – Wojciecha, Brunona, w szczególności Stanisława. Przynosiły one istotne wątki ojczystych dziejów. W ich treściach historia Polski nie zawsze zaczynała się wraz ze chrztem Mieszka. Sięgała albo wstecz – w przypadku dzieła Galla o trzy pokolenia – albo w kronice Mistrza Wincentego o wiele wieków. Swe początki państwo zawdzięczać miało różnym założycielom. Mógł być to Piast pod piórem Galla Anonima (raczej jego syn Siemowit powołany łaską Bożą), Krak (wybrany gdzieś na południu Europy przez Słowian, jak chciał Wincenty Kadłubek), mógł też nim być Lech, który według kronik XIV-wiecznych i Jana Długosza przywędrował z Południa (wraz z bratem Czechem; Rus nie przez wszystkich był uznawany). Z biegiem lat liczba legendarnych władców Polski zwielokrotniała się, nie sięgając, co prawda, Adama i Ewy, ale odwołując się do potomków Jafeta. Oczywiście, niektóre wątki stworzone przez średniowiecznych historyków stanowią i dziś hasła rozpoznawcze Polaków. Piast Kołodziej (raczej rol-

nik), Lech i gniazdo białego orła, smok wawelski, Wanda, „co nie chciała Niemca”, są obecne w świadomości licznych mieszkańców kraju, na równi z nazwami zwycięskich bitew (Grunwald, Wiedeń, Warszawa) i imionami rzeczywistych bohaterów. Nie można jednak oprzeć się wrażeniu, że jak zawsze historia pełniła i pełni funkcję kostiumu przybieranego dla bieżących potrzeb, niekiedy służącego uzasadnianiu programów partyjnych czy ideologicznych, niekiedy „pokrzepianiu serc”. Nie zmienia to faktu, że w dziejach naszego państwa na chronologicznej osi wydarzeń dzień chrztu stanowi (i zawsze stanowił) punkt zerowy, od którego liczy się przeszłość i przyszłość Polaków.